czas 2552/1984/16
UMCS
LUBLIN

Co Pan na to Panie Ministrze oświaty i wychowania? str. 1, 10-11

Diabelska miłość w BWA str. 5

Lublin: wojna - Legiony str. 8-9

Upiór Zamku Sokolskich Lektura prababek str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137—7108 Nr indeksu 36251

kamena

NR 16 (809) 29 lipca - 11 sierpnia 1984 CENA 10 ZŁ

Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski dla Lublina

W czterdziestolecie Polski Ludowej Rada Państwa nadała Lublinowi Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski.

23 bm. na uroczystości związane z wręczeniem Krzyża przybył do Lublina przewodniczący Rady Państwa PRL prof. Henryk Jabłoński. W sali Teatru im. Juliusza Osterwy zgromadziła się szeroka reprezentacja mieszkańców miasta i województwa. Były obecne delegacje z zaprzyjaźnionych miast — Brześcia, Debreczyna i Jass. Wśród kombatantów drugiej wojny światowej — gen. bryg. Paweł Dąbek, Budowniczy Polski Ludowej.

Gości powitał I sekretarz KW PZPR w Lublinie, prof. Wiesław Skrzydło, następnie wygłosił przemówienie prof. Henryk Jabłoński, który też dokonał aktu dekoracji. Przewodniczący Rady Państwa PRL powiedział w zakończeniu swego wystąpienia: „Starsze pokolenia lublinian mogą śmiało mówić tym, co dziś wchodzą w życie: zróbcie więcej niż my, bośmy wam przygotowali start o wiele lepszy niż myśmy mogli sobie w najśmielszych marzeniach wyobrazić wówczas, gdy podejmowaliśmy trud odrodzenia"...

Pierwsza nagroda w konkursie „Kameny" na reportaż

SIEKIEREZADA czyli balladka o trendzie

Władysław Tockt

I

„Wychodząc z zebrania wiejskiego w temacie aktywizacji skupu żywca wieprzowego zobaczyłem zbiegowisko wokół miejsca, gdzie zaparkowałem prywatny samochód marki „Fiat 126 p". W pierwszej chwili pomyślałem, że zgromadzeni obywatele pragną mnie jeszcze o coś zapytać i wtedy usłyszałem straszny trzask i zobaczyłem, że Ob. Chmielewski Aleksander z Bak na ślepo uderza czymś w maskę mojego pojazdu. Na mój krzyk Ob. Chmielewski A. odepchnął stojących ludzi i ze wzniesioną siekierą rzucił się na mnie. Nadmieniam, iż cały czas wykrzykiwał on setki wulgarnych słów".

ALEKSANDER Chmielewski, lat osiemdziesiąt jeden, słucha w milczeniu i jedynie od czasu do czasu potakująco kiwa głową.

— Tak było — ożywia się nerwowo, gdy zamykam notatnik.

Do protokołu, po „zapoznaniu się z „Notatką służbową z wydarzenia po zebraniu wiejskim we wsi Baki, spo-

Dokończenie na str. 4

Dziecko to nie maszyna matematyczna!

Matolenie czy uczenie?

Nikodem Żukowski

NAUKA w szkole podstawowej, jak sama nazwa wskazuje, powinna dać uczniom podstawy do dalszej edukacji: jednym do nauki zawodu innym do nauki w liceum. Wachlarz jest szeroki. Realizację powyższego celu w obecnej naszej szkole podstawowej prześledzimy w trzech aspektach: programów nauczania i podręczników; nauczania przez nauczycieli, uczenia się uczniów.

Najpierw należy odpowiedzieć na podstawowe pytanie: jaki program nauczania w szkole podstawowej jest najlepszy? W tym zakresie jest wiele różnorodnych propozycji. Jedni powiadają, że taki, który daje uczniom najwięcej wiadomości. Inni z kolei twierdzą, że taki, który daje podstawowe minimum, ale rozbudza zainteresowania uczniów i stwarza w konsekwencji tzw. głód wiedzy. Inni mówią jeszcze coś innego: że program powinien zakładać nie tylko przekazanie określonej ilości wiedzy (jako swoistej bazy), ale i rozwijanie sprawności myślenia, gdyż to jest czymś trwałym. Są również propozycje eklektyczne, uwzględniające powyższe warianty w równym stopniu, jest jeszcze wiele innych koncepcji.

Naszym zdaniem — to jest moich rozmówców-nauczycieli i moim — najlepszy program nauczania to taki, który przede wszystkim dostosowany jest do poziomu umysłowego uczniów, ich zainteresowań i posiadanej wiedzy. Czyli — krótko mówiąc — program realny, którego stopień trudności odpowiada możliwościom umysłowym większości uczniów w określonym wieku.

Czy obecny program nauczania w szkole podstawowej, do którego doszliśmy w wyniku karkołomnych eksperymentów i jeszcze bardziej niebezpiecznych reform, spełnia ten warunek? Odpowiedź jest jednoznaczna: — nie!, ponieważ absolutnie nie uwzględnia on poziomu umysłowego większości uczniów; wyprzedza od dwóch do trzech lat możliwości umysłowe dzieci i tym samym staje się nieprzyswajalny i nierealny. Programy nauczania w większości przedmiotów, a matematyki szczególnie, opracowane są wyłącznie dla dzieci zdolnych i wybitnie zdolnych, a więc dla około 15 proc. uczniów, to jest pięciorga w klasie. Pozostali — to statyści; „siedzą jak na tureckim kazaniu".

Stwierdzenia powyższe oparte są na wynikach badań naukowych J. Piageta, na wypowiedziach i ocenach nauczycieli oraz na wynikach badań psy-

Dokończenie na str. 10—11

z notatnika

15 VII. Cały dzionek prezentował się Lublin w drugim programie telewizyjnym. Obejrzałem wszystko dokładnie. No, w miarę dokładnie, bo w pewnym momencie sen mnie zmorzył. Przy okazji straciłem kilka, jak sądzę, wartościowych pozycji w programie pierwszym, ale, niech tam! W każdym razie taka jedna wielka porcja Lubelszczyzny na raz, i to niemal od założenia jej stolicy, może solidnie zmordować człowieka, a oglądanie niemal bez przerwy Podzamcza z dołu i z góry (nawet wówczas, gdy Henryk Gawarecki mówi o czymś innym, czego nie ilustruje się chociaż zdjęciami) doprowadzić do szewskiej pasji. Nie powiem też, aby przydługie monologi przy prezentowaniu Roztocza mogły kogokolwiek zachęcić do odwiedzenia tego pięknego zakątka Polski. A obrazy były tak statyczne, że aż w dołku ściskało!

O tym, co pokazano z lubelskiej kultury, dyskutować nie będę, bo „de gustibus" itd.

Przy okazji chciałbym zapytać, po po wywiad z wojewodą przeprowadzały dwie osoby? Ta śliczna pani ani razu nie otworzyła ust, cały zaś wywiad robiony był na klęczkach, choć wojewoda wypadł nad wyraz fotogenicznie, zwłaszcza na telewizorze marki „Rubin".

Miałbym też wątpliwości co do stwierdzenia, które usłyszałem ok. godziny dwudziestej drugiej, iż pewne pismo lubelskie rozchodzi się praktycznie bezzwrotowo. A może zajrzymy do księgarń? Chociażby do pana Cypla? A może pojedziemy w teren? Trzech panów wyglądało w okienku bardzo smutno, a najwięcej mówił ten, który w zasadzie tylko pytać powinien.

O innych się nie wypowiadam, bo, wiadomo, i funkcje i nazwiska. Na wszelki wypadek żadnego zresztą nazwiska nie podaję, chociaż nazwiska niektórych mówców mogłyby się ukazywać na planszy w trakcie poszczególnych wystąpień. W sumie — nie wiadomo, które nazwisko do danej twarzy pasowało.

Ale żeby nie było samej sadzy, muszę pochwalić, i tu wymienię już nazwisko, Krystynę Kotowicz. Ciekawe, czy zauważą jej program i w Warszawie?

Tyle na ten temat. Uczmy się, może doczekamy się własnego studia telewizyjnego. Gdy się nauczymy, nie będziemy startować od zera...

16 VII. Inny, zupełnie inny, Jerzy Harasymowicz! W „Gazecie Krakowskiej" z 13 lipca aż dziewięć nowych wierszy tego poety. W pierwszym z tych wierszy, opublikowanym przez „Gazetę" na pierwszej stronie (!), pt. „Moje wystąpienie" Harasymowicz pisze: „Ja który posiadam tylko buty i nazwisko / nie będę się więcej wahał / pięćdziesiąt lat rozchwianych / wreszcie chcę poznać / prawdę / Pożegnałem się / z kurną liryką Gór / Moje wstąpienie do rewolucyjnej wyobraźni / — jest / nieodwracalnym / faktem."

Jak ów „nieodwracalny fakt" wygląda w praktyce? Oto wiersz „Karmazyn 1983". Czytam:

„Wydawało się śpi karmazyn sute futro podbite pychą / W fotelu jak w barłogu się rozwalił / Tymczasem to rodzimy polski towarzysz / I spirytus z czupryny paruje jak licho / Tak biega wokół ludu interesów / Że niby stertę futer wszystko pod siebie / Ciekawe co by było gdyby naprzeciw / Usiadł skromnie towarzysz Lenin / Na tym krześle lekkim ogrodowym / Ręce założył za wytartą kamizelkę / I naprzeciw futrzany towarzysz / Czerwony tylko na gębie / Karmazyn pisałby do Wodza mas / Włodzimierzu Iljiczu ja Wam wszystko ja już jutro / Wystaram się o takie samo jakie sam mam / Takie samo kapitalistyczne futro / Zza kupieckiej indy rozłobrodej świadomości / Wylazłby giął się w pokłonach towarzysz / Lenin śmiałby się tylko serdecznie / „Sklepikarki w portkach dawno nie widziałem" / Na krześle lekkim ogrodowym / Siedzi Lenin całkiem współcześnie / I naprzeciw futrzany towarzysz / Czerwony tylko na gębie."

Pewien mój kolega, w sztuce poetyckiej dobrze obeznany, powiedział po przeczytaniu tych dziewięciu wierszy: „Mamy drugą falę pryszczatych". Może i tak, ale z drugiej strony ta poezja, zwana współczesną, już tak mi się przejadła, że człowiek zaczyna tęsknić nawet za pryszczatymi. Chociażby za nimi!

A swoją drogą dobrze musieli dogryźć Harasymowiczowi różni tzw. „prawdziwi Polacy", skoro poświęcił im specjalny wiersz. A brzmi on tak:

„Gorączkowo / w dzień i w nocy / narada trwała / w sumieniu / Przesunęła się wyobraźnia / przez te wszystkie roczki / ze dwa kroczki / w lewo / I już piszą „Prawdziwi Polacy" / żebym się / udał / z wierszy dobytkiem / za te górki sosnowe / za Ural / ze wszystkiem / „Prawdziwi Polacy" / mowę własną / gęsto kraszą / łaciny skwarkiem / Zajeżdżają / i „Suką" / i „Synem" / na krakowskim / dumają bruku / za kominem / Mam tylko / buty wziąć / imię i nazwisko / „za Ural wont" / to wszystko / Eskorta / będzie taka / ułani / lance / i niepodpisana / sobaka / Nieczytelnym / piszą / zygzakiem / od Krakowa / za Ural / krakowskie / widzenie / takie / I tylko / masa wykrzykników / po sześć / w rzędzie / „hej, hej / Komendancie" / i jakoś to / będzie / Kijów / cóż gadać / chamy / my Kijowa / nikomu / nie damy / Krakowskie widzenie / świata / stoi rozkro-ku-kiem / w nawóz własnych / teorii / jak kura / rzuca okiem / ...! lance / i jaśniepańskie / czaka / i tra ta ta ta / jak w dym / I niepodpisany / jakiś / sobaczy / syn".

Niech mi daruje Jerzy Harasymowicz, że mu dwa wiersze w notatniku i to w tej formie przedrukowałem, ale oba są mi dość bliskie. Niestety, ciągle jeszcze tu i tam, w Krakowie czy w Lublinie, spokojnie sobie egzystują podobni karmazyni, którzy gębę mają pełną sloganów i tylko na tej gębie są faktycznie czerwoni. (Chociaż i to nie zawsze). A różni „prawdziwi Polacy" i do mnie pisywali anonimy, jakiś „sobaczy syn" do dzisiaj nie zrezygnował. Poprzewracało się niektórym ludziskom w łepetynach, choć zapewne umeblowanie tych łepetyn nigdy zbyt solidne nie było...

W starych szpargałach wygrzebałem niedawno Biuletyn „Solidarności Uniwersyteckiej" UMCS z 1 czerwca 1981 r. Miałem go kiedyś w ręku, ale nie zwróciłem uwagi, że przedruki wierszy Tuwima i Brzechwy poprzedza wierszyk pani Krystyny B. (nazwisko przemilczę) pt. „Bajka o chlebie i wodzie". Że to jest popis grafomański, to jedna sprawa, ale wierszyk miał i cele „dydaktyczne" do spełnienia. Pani Krystyna B. pisała: „Tak, tak / Pan możny zasiadł w kraju chleba / i Państwo miał na imię, / a lud pracował do zmroku nieba, / tak było w tej krainie..."

Nie znam pani Krystyny B., ale ciekawy jestem z jakiej kasy pobiera pieniądze? Nie z kasy państwowej przypadkiem?

Może kiedyś, po latach, ktoś sięgnie do kompletu biuletynów owej „Solidarności Uniwersyteckiej" i na ich podstawie napisze pracę doktorską? Wcale nie żartuję. Prace doktorskie pisało się z różnych rzeczy!

18 VII. Uwaga, uwaga! W Lublinie kolejna centrala zmieniła numery telefonów. Do mnie np. (może to i dobrze) niektórzy znajomi nie mogą się dodzwonić. Kręcą mój numer i słyszą nagrany na taśmę głos kobiecy: „numer nie wykorzystany". Tylko tyle. Co to znaczy, panie dyrektorze? Kiedyś zmieniano telefony w Łodzi. Gdy nakręciłem stary numer, poinformowano mnie (też automat), że do pierwszej liczby mam dodać taką a taką. I już byłem w domu.

Informuję więc mych wszystkich znajomych między Odrą a Bugiem, że telefonując do mnie muszą do pierwszej piątki dodać piątkę drugą. Reszta pozostaje bez zmian!

20 VII. Przezabawny reportaż (?) w łódzkich „Odgłosach". Facet na wspaniałym wozie ciężarowym bierze po drodze lebka-dziennikarza i mu się zwierza ze swoich przeżyć:

„— A jednego pijaczka to nawet podwiozłem kawałek.

— Do domu?

— Nie tak całkiem. Wirąbiony był do tego stopnia, że położył się obok swego roweru na środku drogi i spał. Tuż za zakrętem zresztą. Z trudem, pamiętam, wyhamowałem, prawie przed nim. Nawet się nie obudził. To go delikatnie wniosłem z tyłu do wozu, akurat z meblami leciałem, i było miejsce. Rowerek też mu zabrałem, a jakże. I wywiozłem prawie 400 kilometrów gdzieś w Koszalińskie. Jak wysadziłem dziada — to wciąż chrapał jak suseł. Ale musiał się trochę zdziwić po przebudzeniu...

— Ale ile wrażeń po przyjeździe do domu!?

— No i te teksty: „Stara ja to po wódzie tak zapierdalam, że w nocy po 400 kilometrów pedałuję..."

22 VII. Uroczystości w Lublinie, uroczystości w Warszawie, uroczystości w całej Polsce. Pod Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie składanie dziesiątków wieńców. Operator telewizyjny był bardzo oszczędny w prezentowaniu tych wieńców, częściej ślizgał się po twarzach widzów i żołnierzy. Szkoda, niektóre wieńce były rzeczywiście przepiękne, a wielkość (i uroda) wcale nie zależały od mocy i wielkości danego państwa, którego przedstawiciele go składali... Ubiory widzów świadczyły, że zbyt ciepło w Warszawie nie było. Jak sobie przypominam, dzień 22 lipca 1944 roku należał do upalnych. Może kto zaprzeczy? Pewne drobiazgi z tego okresu dobrze się pamięta. Na przykład jeden z moich kolegów, dziś zresztą na eksponowanym stanowisku, zauważył: „Popatrz, w przyszłości 21 lub 22 lipca będzie z pewnością Świętem Narodowym. Ale co z tego przyjdzie dzieciom? Przecież one mają w tym czasie wakacje!"

Poprzedniego dnia — telewizyjna transmisja z uroczystego posiedzenia Sejmu, piękne, mądre wystąpienia generała Wojciecha Jaruzelskiego i Jana Dobraczyńskiego, a na porannym posiedzeniu Sejmu uchwalenie, chyba już jedenastej po wojnie, amnestii. Jak z tego wynika, komuniści umieją szybko przebaczać swoim przeciwnikom, co nie zawsze jest cechą tych, których duchowy przywódca czynić tak nakazywał. Wielu z nich dziesięciu przykazań też nie przestrzega. Jakoś żyją na tym świecie, ale co będzie na tym świecie drugim? Czy tam lewica i prawica będzie oznaczać to samo, co na Ziemi?

Umrzemy, zobaczymy!

M. A. Jaworski

Na szachownicach...

STYCZEŃ 1963 roku. W Lublinie odbywał się I Noworoczny Turniej Byłych Mistrzów Polski. Tylko pięciu uczestników, w ich gronie lublinianin Józef Gromek, bożyszcze publiczności. Oglądać „pana Józefa" przyjeżdżałem, po szkole, z niezbyt odległego Chełma. Ja, wówczas początkujący fanatyk „gry królewskiej", przy okazji kibicowania miałem okazję poznać prezesa Okręgowego Związku Szachowego w Lublinie, Zbigniewa Nestorowicza, projektodawcę i organizatora imprezy. W kuluarach osobistością i autorytetem był Zdzisław Marciniak, jeden z najlepszych w tamtych czasach szachistów okręgu, dziś znakomity manager czołowej drużyny kraju — „Avii" Świdnik.

Z poznanych wówczas ludzi pamiętam Zbigniewa Jamroza przez długie lata mego późniejszego kolegę i... rywala. Byli tam i Edmund Łoziński i Tadeusz Pieprzowski, głośni lubelscy arbitrzy.

Rok później zdołałem skłonić miłośników szachów w mym rodzinnym Chełmie do podjęcia trudu i... II turniej byłych mistrzów Polski, w XX rocznicę Wyzwolenia, odbył się w 1964 r. w mieście PKWN-u.

Organizacja wypadła nie najlepiej: do dziś niektórzy ówcześni uczestnicy wspominają, jak pięciu byłych mistrzów musiało zamieszkać w jednym pokoju hotelowym!

Największe kłopoty sprawił pierwszy nocleg. „Starsi panowie" zjawili się w Chełmie ostatnim pociągiem gdzieś koło północy. W małym, miejskim hoteliku ich miejsca zostały sprzedane innym, wcześniejszym, przybyszom... W efekcie następnego poranka moja mama, budząc mnie do szkoły, wytarmosiła za uszy mistrza międzynarodowego, Kazimierza Platera, który spał w mym łóżku, a następnie zimną wodą zlała leżącego obok sędziego turnieju, Arkadiusza Kołodziejczyka...

* * *

Pierwszy turniej im. PKWN, będący formalną kontynuacją zmarłego śmiercią naturalną turnieju byłych mistrzów, odbył się w 1965 r. w Lublinie. Formuła była sensowna: sześciu zaproszonych czołowych szachistów Polski i tyluż najlepszych z województwa. Byłem jeszcze juniorem (co prawda, drugim w kraju...), mimo to udało mi się w turnieju podzielić I—II miejsce z „samym" Romualdem Grąbczewskim.

Turniej zaowocował wzrostem zainteresowania szachami w środowisku lubelskim. W rezultacie niezrudzony prezes Nestorowicz zdołał wygrać batalię i zdobył dla okręgu małą przytulną salkę w centrum miasta, przy Krak. Przedmieściu 30. Otrzymała ona nazwę „Ośrodek Konsultacyjno-Szkoleniowy".

Życie szachowe nabrało rumieńców. Co sobotę i niedzielę na turnieje błyskawiczne ciągnęły tłumy. Byłem już mieszkańcem Lublina — częściowo za sprawą szachów, a głównie z powodu „zainteresowań" córką Mieczysława Ziemeckiego, byłego sześciokrotnego mistrza Lublina, która później została mą żoną...

Z wydarzeń tego okresu pamięć wytłuskuje, że ekipa „Startu" Lublin, do której po okresie studiów w stolicy powrócił Andrzej Sydor, na dobre usadowiła się w czołówce ekstraklasy krajowej.

Kolejne lata: turniej im. PKWN, rozgrywany zawsze w lipcu, przemienił się w Festiwal (turniej główny, kobiecy, „open" itd.). Był on sprawdzianem talentów, które — wraz z niezapomnianym i bardzo popularnym Arkadiuszem Kołodziejczykiem, zwanym „kierownikiem" z racji funkcji, którą pełnił w Ośrodku — wykuwaliśmy wieczorami na zajęciach szkółki szachowej. To u nas „terminowali": Irka Kasprzyk, Sławek Wach, Zbigniew Księski, Jacek Mardarowicz, a trochę później Zbigniew Szymczak i Henryk Dobosz. Wątpię, czy te nazwiska byłyby dziś znane w światku szachowym, gdyby nie Festiwale im. PKWN i... szkółka w Ośrodku.

Powoli Lublin stawał się silnym i prężonym, jednym z najlepszych ośrodków szachowych w Polsce. Przyszły zwycięstwa w Mistrzostwach Polski, tak indywidualne jak i drużynowe. Do Lublina, na krócej lub dłużej, przenosili się, aby zamieszkać i grać tu w szachy, coraz to nowi mistrzowie...

Szczególnie utkwił mi w pamięci X Festiwal w roku 1974. Po pierwsze trzy tygodnie przed rozpoczęciem imprezy urodził się nam syn, Marcin. Po drugie... Żona, Bożena, bardzo lubiła grać i... wystartowała w turnieju! Dziś, z perspektywy czasu, na tamten „wyczyn" spoglądamy bardziej sceptycznie...

Autentycznym wydarzeniem był udział w głównym festiwalowym turnieju eksmistrza świata Michała Tala. Na marginesie: do dziś był on jedyną autentyczną osobistością, która wystąpiła w naszym Festiwalu! Pamiętam na spotkaniu w Ratuszu prezydent miasta Stanisław Bora wypytywał eks-championa o jego — zwycięskie! — pojedynki z super-championem Robertem Fischerem. Jesteśmy wszyscy starsi o te skromne dziesięć lat, a jednak ciągle zdaje mi się, że to było wczoraj...

Druga połowa lat siedemdziesiątych to poważny regres Festiwalu i... jednocześnie mocne dmuchanie w gwizdek propagandowy przez ówczesnych organizatorów, których szeregi mocno się pozmieniały w porównaniu z pierwszymi latami.

Kolejne ożywienie Festiwali i życia szachowego w Okręgu nastąpiło po objęciu funkcji prezesa OZSzach przez Stanisława Borę. Impreza została przeniesiona do Nałęczowa, gdzie zyskała oddanego jej protektora w osobie naczelnika gminy, Leona Ginalskiego.

Z tych ostatnich lat pamiętam, jak kiedyś wiosną 1981 r. gdy odwiedziłem prezesa Borę, ów, zbulwersowany, pokazał mi artykuł w „Kurierze Lubelskim" anonimowego autora z atakiem na Festiwal. „Odważny" redaktor proponował — w ramach oszczędności — zlikwidować imprezę. Operował fałszywymi liczbami, znacznie wyolbrzymiał faktyczne koszty. Tak, tak, tego — „pamiętnego roku" podobne atak były w modzie, a autotyczni społecznicy byli narażeni na różne przykrości!

Czym i jaki jest Festiwal dziś?

Wybaczcie, Szanowni Czytelnicy, ja, „zawodowy szachista" w tym względzie narzucać Wam swego punktu widzenia nie zamierzam. Pozwoliłem sobie przedstawić jedynie garść osobistych wspomnień...

Krzysztof Pytel

Ankieta „Kameny" SZANSE 40-LECIA

Ryszard Wojna:

MAM 64 lata. W 1945 r., w momencie powrotu z Zachodu do kraju, miałem 25 lat. Oznacza to, iż całe moje dorosłe życie upłynęło w nurcie historii PRL. Dlatego też w pytaniu postawionym przez „Kamenę" — „jak wykorzystaliśmy szanse, które pojawiły się przed narodem w momencie powstania Polski Ludowej i w późniejszych latach jej istnienia" — upatruję apel o rachunek sumienia, jaki moje pokolenie winno by składać ze swojego dorosłego życia.

Ale z rachunkiem sumienia u działaczy politycznych (publicyści są nimi ex definitionae) sprawa nie jest prosta.

Po pierwsze — jesteśmy na ogół ludźmi zaangażowanymi, którym trudno zdobyć się na chłodny dystans wobec własnego wkładu w stawanie się w historii.

Po drugie — cechuje nas skłonność do łatwego rozgrzeszania się. Intencje mieliśmy przecież najlepsze...

Po trzecie — dyscyplina wobec idei, której służymy, nie pozwala na donośne bicie się w piersi. Stawiałoby to ideę w złym świetle.

Po czwarte — wszyscy pragniemy rozgrzeszenia ex post. Jest ono nam potrzebne jako dowód, iż nie zmarnowaliśmy życia, opowiadając się po tej, a nie po innej stronie.

Oczywiście, zastrzeżenia te dotyczą takich jak ja, którzy nie przeszli przez barykadę do tych drugich, ani nie siedli na niej okrakiem. (W pewnych momentach była ona niebotycznie wysoka, w innych sprowadzała się do kreski przeciągniętej patykiem na piasku). Tym, którzy przeszli na drugą stronę, jest łatwiej. Głoszą urbi et orbi o swej wewnętrznej potrzebie ekspiacji za to, co robili przedtem, a ci, którzy ich przygarniają, udzielają im natychmiast absolutorium. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Liczy się przede wszystkim twoje dzisiejsze stanowisko.

Takim jest znacznie łatwiej spowiadać się z życia. Mówią o własnej przeszłości per „oni". Dzisiejszy okazjonalny warszawski korespondent socjalistycznego dziennika paryskiego „Le Matin" jest żarliwym szermierzem Wolności. Któż z jego obecnych compagnons d'arme wypomni mu, że kiedyś chodził z pistoletem u boku po warszawskich redakcjach i puszył się parantelą z kimś wysoko postawionym w UB?

Ci, którzy wytrwali w tym samym szeregu — a jest ich niemało — muszą dziś spowiadać się również za jego grzechy.

To nie znaczy, iż odmawiam ludziom, których nagle poraziła jasność jak Szawła w drodze do Damaszku, prawa dostrzeżenia, iż szli nie swoją drogą, iż błądzili. Nie odmawiam tego prawa nawet tym, którzy twierdzą, że to Idea skręciła ze swej ścieżki, podczas gdy oni poszli dalej prosto. (Trudno byłoby im to udowodnić).

Ale po dokonanej wolcie niech nas nie pouczają! To już coś więcej, niż polityczne zaprzaństwo. To sprawa dobrego smaku i obyczaju...

Ponoć na starość człowiek ma tendencję do zaokrąglania spraw, do samopocieszania się. Nie zaobserwowałem tego u starych działaczy robotniczych. Przeciwnie! Wystarczy pójść do klubu weteranów na warszawskiej Woli, by usłyszeć, niekiedy powiedziane głośno, bardzo głośno: — To nie jest to, o co walczyliśmy. Przyszłość miała być świetlana. Gdzie są szklane domy?! Partia odeszła od źródeł.

Twierdzą, że dostrzegają to dopiero teraz, z dystansu emerytury. Kiedy byli młodzi, socjalizm ich marzeń miał kierować się tylko i wyłącznie busolą sprawiedliwości społecznej. Niczym innym. Materialistyczni idealiści nie zdawali sobie sprawy, iż sprawiedliwość społeczną można stosunkowo łatwo odmierzać en gros, w hurcie, ale znacznie trudniej w detalu. Wioskowy Janko Muzykant, który dzięki władzy ludowej ukończył konserwatorium, nie zawsze uważa się za miarę szczęścia, jakie ludowi przyniósł socjalizm. Szczęście na ziemi jest sprawą względną. Najczęściej rodzi poczucie nienasycenia, albo gorzej — rozbudzonego apetytu.

Zastanawiam się tedy, czy wykorzystanie szans, jakie pojawiły się przed narodem wraz z narodzinami Polski Ludowej należy mierzyć wyobrażeniami ludzi o szczęściu, oczywiście nie w hedonistycznym jego rozumieniu, ale o szczęściu, które wiążą z awansem, zdobytą wiedzą, pozycją, dorobkiem materialnym — czy też trzeba szukać miar obiektywnych, abstrahujących od ludzkich emocji, a operujących najchętniej liczbami, niekiedy analogią historyczną?

Nie, to byłby fałszywy dylemat. Nie można zobiektywizowanej historii kraju przeciwstawiać wyobrażeniom pojedynczych ludzi o ich życiu — było ono udane, czy nie.

Historia życia mojego pokolenia to dla nas historia serdeczna. Nie można jej pisać na zimno. Liczba ludzi niezadowolonych ze swego miejsca pod słońcem, jeśli przekroczy pewien pułap, może osiągnąć stan masy krytycznej groźnej dla oficjalnych struktur życia publicznego. Pokazała to eksplozja, z której zrodziła się „Solidarność".

Ale ja, zastanawiając się nad bilansem czterdziestolecia nowego ustroju państwa polskiego, nie prowadziłbym sporu z tymi, którzy ulokowali swe nadzieje w „Solidarności". W jednostkowych przypadkach mieli być może rację. I być może jest ich wielu, bardzo wielu. Ale czy czas historyczny życia narodu równa się sumie oceny własnego życia wszystkich obywateli?

Gdyby „Kamena" sformułowała swoje pytanie inaczej: — co dokonało się najważniejszego w tym czterdziestoleciu? — odpowiedź byłaby łatwiejsza.

Historia, ta pisana w skali makro, wskaże kiedyś na przesunięcie Polski 200—300 km na zachód, jako na najważniejszy rezultat narodzin Polski Ludowej. Granica wschodnia przebiega dziś zgodnie z linią etniczną (przez długie wieki była ona rozmazana — gente Ruthenus, Polonus sum). Granica zachodnia zlikwidowała tysiącletnie skutki niemieckiego Drang nach Osten, które to parcie — nie zapominajmy o tym — miało dla Polaków również charakter wyzwania cywilizacyjnego.

Ktoś inny najważniejsze fakty upatrywać będzie w industrializacji kraju. Jeszcze inny — w ostatecznym wykrystalizowaniu się — dzięki rewolucji oświatowej — nowoczesnego narodu polskiego.

Trudno zaprzeczyć. Te trzy jakościowe zmiany w życiu państwa i narodu są na miarę epokowych przełomów.

Ale w moim myśleniu o tym czterdziestoleciu na plan pierwszy wysuwa się co innego: oto dopiero za życia mego pokolenia, za sprawą socjalizmu, została przywrócona wolność i obywatelska godność chłopu polskiemu.

Nie dała mu jej insurekcja kościuszkowska. Nie dała jej rabacja chłopska. Nie mógł jej dać Rząd Narodowy z 1863 roku. Nie dały uwłaszczenia przeprowadzone przez zaborców. Nie dała namiastka reformy rolnej podjętej w II Rzeczypospolitej. Dała ją dopiero rewolucyjna reforma rolna rozpoczęta w 1944 r. i podbudowana przemianami ustrojowymi we wszystkich innych dziedzinach życia narodu.

Pisząc to zdaję sobie sprawę, że poniektóry młody człowiek wzruszy w tym miejscu ramionami. Jego nie zastanawia, dlaczego chłop przybyły do miasta nie ustępuje miejskim ludziom z drogi, dlaczego nie czapkuje w urzędzie, dlaczego o życiu swoim i swoich dzieci nie myśli z pozycji „przypisanego do ziemi".

Tymczasem potrzeba było półtora wieku walk klasowych, by ta oczywistość mogła się dokonać. I to jest najważniejsza — moim zdaniem — zasługa Polski Ludowej, wniesiona w tysiącletnią historię kształtowania się narodu polskiego. Po prostu dzięki Polsce Ludowej mógł dokończyć się proces jego kształtowania się.

Natomiast na pytanie, czy wykorzystaliśmy szanse, jakie przyniósł Polsce nowy ustrój, nie umiałbym tak jednoznacznie odpowiedzieć. Pewne wykorzystaliśmy (po części narzuciły się nam same: na przykład te, które wynikły z burzliwego postępu technicznego na świecie), innych nie.

Kogo za to należy obarczyć winą? Kolejne rządy, czy naród?

Nie stawiałbym sprawy w kategoriach winy. U podstaw tego, co się nam nie udało, co się nam nie powiodło, leży pęknięcie, które podzieliło naród w końcowej fazie wojny i w pierwszych latach powojennych. Rewolucje nie są pogodnym spacerkiem. W latach 1944—1947 przez kilka dzielnic Polski przeszła wojna. Po obu stronach poległo od 30 do 40 tysięcy Polaków. To nie mogło spłynąć po nas jak woda po psie. Pewne echa dały o sobie znać we wstrząsach na początku lat osiemdziesiątych.

Czy jesteśmy dzisiaj mądrzejsi? Czy zrozumieliśmy coś z tego?

Odpowiadam sobie na to, że tak wielkie zmiany, jakie dokonały się po II wojnie światowej w życiu państwa i narodu polskiego, nie mogą być przetrawione przez społeczeństwo w jednym pokoleniu. Przypuszczalnie potrzeba na to kilku generacji. A historia będzie w międzyczasie stawała się nadal; nasz wpływ na nią będzie zależał od tego, czy będziemy umieli odczytywać jej sens.

40 rocznica Powstania Warszawskiego

Stanisław Marczak-Oborski

Miastu

Dymy i łuny, i proch pożarów —
wszystko to zna od dawna miasto.
A bohaterstwo, co świeci jaśniej,
ani na chwilę tu nie zgasło.

Więc jakie słowa, proste bardzo,
ustawić w barykadę dzisiaj,
gdy dzień pierwszego sierpnia stanął,
słupami dymu dźwignął stolicę.

Potem szeregiem — wschody, zachody,
w uśmiechach rannych — w wiotkich
bibułkach.
Niebem spływały fale deszczów,
jak niespokojne, lotne jaskółki.

Lecz nie patrz w niebo — brudne bardzo —
gdy pocisk w ciało zapuka lekko.
Krzyż samolotu rozpięty w górze
zamienił niebo w ogniste piekło.

A serce Twoje tak jest proste —
chleb żołnierzowi podany z ręki.
Mówić o Tobie pragnę, Warszawo,
w słowach lirycznych, jak lot, i miękkich.

szósty dzień powstania sierpniowego.

Fot. Archiwum

SIEKIEREZADA

czyli balladka o trendzie

Dokończenie ze str. 1

prądzoną przez Ob. Gwiżdża Jana, starszego instruktora Gminnej Służby Rolnej", zeznał równie krótko i szczerze: — „Gwiżdż napisał prawdę". Poświadczył to własnym podpisem i zapewnił komendanta posterunku, że czuje się dobrze, nie cierpi na zaniki pamięci, wręcz przeciwnie: przypomina sobie nazwisko rosyjskiego nauczyciela, który uczył go w szkole, w dziesiątym roku; było mu Sołowiej, imię Dymitr.

— Ja by go zaciukał, no, uciekł — potwierdza groźny zamiar i próbę zabójstwa, wysunięty wcześniej przez instruktora Gwiżdża oraz komendanta spokojnie wyjaśnia: — My zawsze, jak się spotkali, to był z tego pech. Sam pan posterunkowy to pojął, bo przerwawszy służbowe pisanie wstał i powiedział: — „No, dziadku, zmiatajcie do domu".

— Obywatel Chmielewski Krzysztof, wnuk dziadka Aleksandra, pisemnie przeprosił pana Gwiżdża w imieniu całej rodziny i pokrył straty. Pan Gwiżdż wycofał oskarżenie wobec czego odstąpiłem od czynności. Zresztą — bezradnie uśmiecha się sierżant Borowin — co z takim dziadkiem zrobić?

II

— Trzydzieści osiem lat byłem nieskazitelnym urzędnikiem państwowym, działaczem i aktywistą.

W czterdziestym szóstym pod świstem kul dzieliłem ziemię, dając ją biedocie.

Znosiłem szyderstwa, groźbę utraty zdrowia, a nawet życia, gdy państwo ludowe weszło na etap uspołeczniania rolnictwa.

Pchałem się rowerem lub wprost pieszo po bezdrożach, by zachęcić rolnika do budowy silosów, uprawy zielonek i poplonów.

Dzięki moim staraniom w naszej gminie powstało pierwsze w województwie gospodarstwo specjalistyczne.

Obecnie, gdy znowu zaszła wyższa potrzeba, bez przymusu ruszyłem do ludzi, aby swoim skromnym słowem przekonać ich o konieczności sprzedaży państwu mięsa i zboża.

I za to wszystko taką otrzymałem zapłatę: świst siekiery!

III

— Jakżeś pan tak lubiący czytać opisy pana Gwiżdża, o tym, co ja jemu nabruździł, to czytaj i inne — mówi dziadek Chmielewski i wyciąga szufladę kuchennego stołu. Ze złością wydobywa z niej opasły plik papierzysk i bez szukania wyciąga z niego złożoną, pożółkłą „Gazetę Łomżyńską" z sierpnia 1954 roku.

— Tu — wskazuje palcem tytuł: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni czyli historyjka o tacie i synku" i wychodzi.

„Któż w gminie Długibór — czytam — nie słyszał o kułaku Aleksandrze Chmielewskim z gromady Baki. Jest on znany nawet i w całym powiecie.

Chytry Aleksander Chmielewski próbował stać się z kułaka chłopem średniorolnym, chciał płacić mniejsze podatki i mniej sprzedawać państwu zboża, kartofli oraz mleka.

Postanowił on podzielić ziemię pomiędzy braci, zostawiając sobie 11,9 ha, a zapisując na nich 16,1 ha. Faktycznie to nic się nie zmieniło, gdyż obaj bracia pracowali i mieszkali u Al. Chmielewskiego.

Machinacje kułaka nie udały się. W wykryciu fikcyjnego podziału dopomógł młody sołtys, Jan Gwiżdż. Wykazując kułackie oszustwo sołtys Gwiżdż nie pozwolił też kułakowi Chmielewskiemu przechwycić żniwiarki z Gminnego Ośrodka Maszynowego, słusznie uważając, że należy się ona w pierwszej kolejności chłopom małorolnym i średniorolnym.

Zgniewało to kułaka. Publicznie znieważył on sołtysa. Ale za to został ukarany aresztem.

Zapomniał kułak Chmielewski, że jego syn Mirosław korzysta z dobrodziejstw Polski Ludowej. Jego syn Mirosław jest studentem na Politechnice w Gliwicach, na Śląsku. Uczy się całkiem bezpłatnie na koszt państwa i ma być inżynierem.

Ale okazuje się, że synek nie jest lepszy od tatusia. Kiedy przyjeżdża na wakacje do domu usiłuje straszyć pracowników Prezydium GRN i biedaków z tej gminy mówiąc, że w przyszłości wszyscy u niego będą parobkami.

Te „proroctwa" nigdy się nie spełnią. A swoją drogą to, że kułacki syn uczy się na koszt państwa — jest jednak wynikiem braku czujności władz oświatowych. Trzeba teraz przekonać Chmielewskich, że władza ludowa nie będzie kształcić syna kułaka sabotażysty".

— Po tym artykule władze oświatowe szybko nadrobiły brak chwilowej czujności — mówi Krzysztof Chmielewski. — I po paru dniach mój ojciec przestał być studentem. Zaczął pracować w kopalni. Miałem rok, gdy zginął po wybuchu gazu w chodniku. Wychował mnie dziadek i do tego pechowego zebrania prawie nigdy nie wspominał o Gwiżdżu. Nawet gdy „Solidarność" przypomniała jego dawne „zasługi" nie podpisał się pod listą, by zwolnić go z pracy. „To sprawa między nim i mną", powiedział. Wzburzyła go znowu po tylu latach odmowa przydziału przetrząsaczo-zgrabiarki, a tak naprawdę to to pismo: „Po ponownym rozpatrzeniu wniosku obywatela o przydział przetrząsaczo-zgrabiarki informuję, że wcześniejsze negatywne stanowisko komisji dokonującej podziału sprzętu w br. jest ostateczne. Ustosunkowując się do podnoszonych zarzutów jednocześnie wyjaśniam, iż zgodnie z przyjętymi kryteriami sprzęt rolniczy słusznie należy się w pierwszej kolejności rolnikom posiadającym duże, wysokotowarowe gospodarstwa. Jan Gwiżdż, starszy inspektor".

Dziadek Aleksander najpierw rzucił odpowiedź na ziemię, potem podniósł, przeczytał raz jeszcze, wyciągnął z szuflady „Gazetę Łomżyńską" sprzed równo trzydziestu lat i blady, klnąc straszliwie wybiegł na podwórko.

Pech chciał, że za dwa dni było zebranie.

Pech chciał, że z gminy przyjechał na nie właśnie Jan Gwiżdż.

IV

— Wydarzenie to przeżyłem tak mocno, że zmuszony byłem przejść na wcześniejszą emeryturę. Cieszy mnie, że przynajmniej młody Chmielewski zrozumiał błąd dziadka i natychmiast przybył mnie przeprosić; ostatecznie realizowałem zawsze nie swoją, lecz aktualną politykę państwa. Młody Chmielewski wręczył mi nawet pismo, w którym przeprasza w imieniu całej rodziny. Dziś niemniej dręczy mnie wątpliwość, czy nie była to aby okrutna kpina. Bo w jakim celu, pokażę później, załączył ten oto, co najmniej dziwny tekst?

Krzysztof Chmielewski skończył studia, jest oczytany i być może chciał w ten sposób wytknąć mi, że mam tylko zaoczną maturę? Jeśli tak, byłaby to zwykła złośliwość, gdyż ja będąc w jego wieku na naukę nie miałem czasu. Ile bowiem niezrozumienia przyniósł i nawet tak wiekopomny akt, jak reforma rolna? Jakich trzeba było użyć argumentów, by potem przekonać wieś, że polski rolnik musi być wszechstronny; dać mleko, jajka, mięso, zboże. Taka była dziejowa konieczność. Nie było wówczas lekko, ale człowiek widząc cel, podśpiewywał sobie tylko w duchu: „I znów się pieśń na usta rwie...".

V

Siedlisko Chmielewskich założył w Bakach ojciec Aleksandra, Mikołaj. Pracował na nie osiemnaście lat w Ameryce i po powrocie kupił całe dwadzieścia osiem hektarów. Nie nacieszył się nimi długo: tak nieszczęśliwie dźwignął krokiew w czasie wznoszenia stodoły, że w parę miesięcy później już nie żył. Na ziemi został Aleksander i jego dwaj bracia, Jan i Jakub.

— Był czas, że dusiłem w sobie klątwy na nieżyjącego ojca — wspomina dziś dziadek Aleksander. — Jakby kupił byle co, resztę grosza przepił, sam by pewnie żył i nam by było lepiej.

Bo nikt nie ukrywał: należy założyć wielkie gospodarstwa.

Dziadek rozkłada skrupulatnie przechowywane kwity podatkowe, wykazy obowiązkowych dostaw, ponaglenia, pokwitowania grzywien, nakazy aresztowania.

— Miałeś pięć hektarów, odstawiałeś trzynaście i pół metra zboża. Ale za dziesięć już cztery tony i cztery metry — porównuje z pamięci. — A my mieli dwadzieścia osiem ha.

To, że bracia podzielili je w 1954 roku, było i kunktatorstwem, wymuszonym, i normalnym zwyczajem: ziemia po ojcach należała się wszystkim dzieciom. Po artykule w „Gazecie Łomżyńskiej" i trzecim aresztowaniu Aleksandra, Jan i Jakub szybko przystąpili do spółdzielni produkcyjnej i jeszcze szybciej, pozbywszy się w ten sposób swej części, wyjechali na Wybrzeże. Aleksander Chmielewski z dnia na dzień stał się więc faktycznym średniakiem i jest nim do dzisiaj.

Dwa lata później wszystko mogło potoczyć się inaczej.

VI

— Krzysztof Chmielewski myśli pewnie, podobnie jak dziadek, że jego ojciec Mirosław nie żyje przeze mnie. A przecież zginął, słyszałem, w kopalni! Jeśli tak to rozumie, nie pojmuje nieuchronnej dialektyki kolejnych etapów rozwoju. Tak jak nie pojęli jej ludzie w pięćdziesiątym szóstym, kiedy to musiałem odejść z powiatu. Owszem, nie wszystko musiało być tak, jak było, ale potępić w czambuł może tylko ten, co stał z boku i się jedynie przyglądał. Cóż, okazało się, że z olbrzymim trudem zmienia się nie tylko świadomość. Gdy odsunąłem się od aktywnej polityki, konserwatyzm wsi ujawnił mi się w całej rozciągłości. Ileż to przy najmniejszej nowince technicznej, agrarnej, hodowlanej spotkałem nieufności, podejrzeń, wręcz wrogości! Ile trzeba było zabiegów, żeby rolnik pojął jak korzystne jest aktualnie ustawienie się na jedną rzecz, na specjalizację! Zresztą do dziś wielu tego nie rozumie. A przecież w dużym, jednotowarowym gospodarstwie znacznie łatwiej wykorzystać technikę i dojść do perfekcji zawodowej. Człowiek nieustannie musi zmieniać spojrzenie na rzeczywistość, gdyż inaczej przestaje iść z postępem. Chmielewski nie może zrozumieć, że maszyna przydzielona na dwadzieścia hektarów lepiej na dzień dzisiejszy przysłuży się krajowi niż gdyby ją dać na dziesięć.

VII

Ojciec Aleksandra, Mikołaj, budował wielką stodołę, gdyż w Ameryce nauczył się hodować owce i w Bakach postanowił nie zajmować się niczym innym. Po wojnie z całego stada ocalały zaledwie dwie sztuki, a obowiązkowe dostawy mleka, jaj, zboża i ziemniaków przekreśliły szansę na jego odbudowę.

— Po studiach myślałem raczej o badylarstwie — mówi Krzysztof. — Powrót do owiec jest zupełnie przypadkowy: starałem się o ciągnik i w gminie usłyszałem, że w pierwszej kolejności przydziały otrzymują specjaliści. Tylko nie jacyś tam badylarze. Więc mówię do naczelnika: „Zgoda, zakładam owczarnię". W końcu, myślę, pradziad sobie poradził, musi wyjść i mnie. I założyłem. Posadzono mnie za to na gminnych dożynkach za stołem prezydialnym, w „Gazecie Współczesnej" poszło moje zdjęcie: ja w środku, otoczony owieczkami, z boku ujada Alza. Jak z Chełmońskiego. Ale owce chcą siana. Do dużej ilości siana potrzebna jest jednak przetrząsaczo-zgrabiarka. Tym bardziej, że na razie jesteśmy tylko z dziadkiem. Poszedłem do urzędu, mówię: — „Przecież jestem specjalistą". „Dziś inny trend", odpowiada sekretarz gminy. I dodaje, że małe i średnie gospodarstwa, gdy przetrwają, mogą liczyć na doposażenie za siedem, dziesięć lat. Dziadek nie może tego „dziś", „aktualnie" zrozumieć, w dodatku, gdy przez tyle lat mówiła mu to, ciągle inaczej, ta sama osoba.

VIII

— Nigdy nie wróciłbym do Bak, choć tu się urodziłem, ale gdy w siedemdziesiątym ósmym umarł ojciec żal mi się zrobiło ziemi, która poszłaby w obce ręce. A ziemię ojciec dostał z reformy. Do niedawna byłem więc dwuzawodowcem. I doprawdy nie mogę zrozumieć, co się stało z naszą wsią. Skąd w niej tyle nieufności do urzędu, braku poszanowania dla przedstawicieli władzy państwowej? Zwłaszcza teraz, po tych szalonych miesiącach anarchii. Bo oto czytam niedawno w „Przeglądzie", że podobna historia spotkała naczelniczkę Urzędu Gminy w Elblągu. Ją też chłop popędził siekierą. Istna siekierezada! Potem przychodzą, przepraszają. Ale i wtedy nie ma pewności, czy nie czynią tego z obłudnej przekory. Bo co znaczyć ma ten oto, wspomniany wcześniej tekst, który do przeprosin dołączył Krzysztof Chmielewski i napisał na nim: „Panu J. Gwiżdżowi — do przemyślenia". Jest to fragment wyraźnie wyrwany z kontekstu, więc doprawdy nie wiadomo, jak się ustosunkować. Zresztą czytaj pan sam: „Czcigodny pan łajał urzędników, którzy nie pojmowali jednej prostej zasady — zasady drugiego worka. Lud bowiem nigdy nie burzy się z tego powodu, że dźwiga ciężki wór, nigdy nie burzy się z powodu wyzysku, ponieważ nie zna on życia bez wyzysku, nie wie, że ono istnieje, a jakże można pożądać czegoś, czego nie ma w naszym wyobrażeniu. Lud wzburzy się dopiero wtedy, kiedy nagle jednym ruchem ktoś spróbuje wrzucić mu na plecy drugi wór. Chłop wtedy nie wytrzyma, padnie twarzą w błoto, ale zerwie się i chwyci za siekierę. I to, łaskawco, chwyci za siekierę nie dlatego, żeby już żadną siłą nie mógł dźwignąć owego drugiego worka, nie, on by go dźwignął! Chłop zerwie się, ponieważ odczuwa to tak, że chcąc nagle i jakby cichcem wrzucić mu drugi wór na plecy, próbowałeś go oszukać, potraktowałeś go jak bezmyślne zwierzę, podeptałeś resztkę jego zdeptanej godności biorąc go za durnia, który nie widzi, nie czuje, nie rozumie. Człowiek chwyta za siekierę nie w obronie własnej kieszeni, tylko swojego człowieczeństwa".

Przeczytaj to pan jeszcze raz! I powiedz sam: co się za tym kryje?

Władysław Tochl

Jaja w grochu

Ireneusz J. Kamiński

SZÓSTEGO lipca wchodzę do lubelskiego BWA i natychmiast cofam się, bo fetor jakowyś rozdyma salę, a na dodatek ktoś tam rechoce za rozwieszonymi płótnami, jakby kopulował z kotem-dachowcem albo z feministką o intelektualnych aspiracjach. Zawstydzony wszak tą chwilą słabości, dodając sobie ducha pospieszną repetycją stosownych tekstów, rozpiemnikowanych na łamach naszej prasy, przywołując z pamięci standardowe doznania węchowe i wizualne, jakich doświadczamy na co dzień w klozetach publicznych — ponownie przekraczam próg sali wystawowej, gdzie swoje spore a nawet wielkie płótna zaprezentował Waldemar Umiastowski z Warszawy, absolwent tamtejszej ASP, którą ukończył w 1981 roku pod rzewnym okiem Tadeusza Dominika, znanego w kraju z obrazów utrzymanych w manierze abstrakcyjnego koloryzmu, w Szwecji natomiast — z zupełnie innych prac, bardziej eksportowych i jakby egzotycznych w państwie rozwiniętej cywilizacji przemysłowej, gdzie wszyscy obywatele korzystają np. z dobrodziejstw centralnego ogrzewania.

I otóż miła niespodzianka: Umiastowski udowadnia, że zdolny malarz potrafi zrobić sztukę z byle... czego, a ten cały dookolny zapaszek to tylko konieczne koszta własne twórczej transformacji. Mało: młody artysta (ur. 1953) przekonuje nas, że nawet czerpiąc inspiracje ze sztuki obcej, można zachować oryginalność wypowiedzi i tożsamość etniczną. Rzecz w tym, że Umiastowski godzi w swoim malarstwie poetykę „nowych dzikich" czy „nowego ekspresionizmu" z grafologią i problematyką rodzimej plastyki klozetowej, która obok wątków politycznych najchętniej eksponuje zabawy męsko-damskie: w ujęciu pryncypialnym i ludycznym.

No bo spójrzmy na takiego „Obserwatora", którego w BWA umieszczono pod sufitem, co rozsądne, albowiem niejeden miałby ochotę pomacać wymalowaną na płótnie soczystą babę, która rozwaliwszy się w pozycji nr 1 (wariant B), słusznie koncentruje uwagę długiej czerwonawej szyi, zakończonej głową męską w kształcie okazałego, zazdrość bierze, żołędzia, a wychylającej się gdzieś spoza krawędzi obrazu i tak sobie dyndającej, dyndającej, że aż strach ogarnia na myśli, co się stanie za chwilę — oczywiście z głową, a nie z babą, potężną przecież, jak Wenus z Willendorfu. Grozę sytuacji łagodzą co prawda serduszka na zielonym tle (cyt. z popu, nowej figuracji lub patten-artu) tego układu (cyt. z Kazana), ale i tak trudno pozbyć się wrażenia, że za chwilę ktoś tam komuś coś połknie. A wszystko to autor namalował od ręki, szkicowo i swobodnie, ze świadomą nonszalancją — przy pomocy prostych, „prymitywnych" lub inaczej: „dzikich" zabiegów warsztatowych przypominających ludowe operacje rysunkowe na ścianach.

Albo takie płótno o dwujęzycznym tytule: na górze — „Co o tym sądzisz?", a na dole — „What do you think of it?" Pytanie to zresztą retoryczne, bo co można mniemać o pani i panu, którzy siedząc na niebieskim materacyku uprawiają to, do czego zmuszała nas niegdyś głupota młodości?! Tu także sylwetki bohaterów (bo czy nie jest bohaterstwem wysiłek seksualny w takiej pozycji?) podobne są ludzikom ze ścian pobielanych wapnem żrącym. Gwoli spełnienia wymagań heurystyki (ulubiona kategoria Jana Świdzińskiego) dodajmy, że obie wzmiankowane rzeczywistości plastyczne łączy też skłonność do ostentacyjnego pokazywania, co spółkujące strony mają między nogami. What?

Umiastowski bywa przecież bardziej wyrafinowany w swoich malarskich poczynianiach. Oto w obrazie z napisem: „Żona i mąż jako para kochanków w Ameryce, według Aleksandra Märza" rozprasza zręcznie naszą uwagę na różnych dekoracyjnych fatałaszkach, którymi wypełnia płótno, tytułowej damie każe udawać Indianina w kolorach bojowych, ale w pewnym miejscu i tak szydło wychodzi z podbrzusza owłosionego męża, a trzeba przyznać, że jest to szydło na miarę moździerza z wojennych filmów jugosłowiańskich.

Natomiast na poziomie tzw. cienkiej aluzji lokuje się malowany przyczynek do teorii Freuda (dziewczynki już w kołysce marzą o chłopach itp.), zatytułowany „Jaś i Małgosia w muzeum". Głupkowato uśmiechnięty chłopczyk pochłania oto wzrokiem akt damski (z sygnaturą na pupie: „P. Picasso 21340"), natomiast Małgosia uważnie przygląda się rzeźbie mężczyzny, który co prawda rąk nie posiada, ale ma za to z 5 kg pod brzuchem. Widać, że dziewczynkę raduje ten przykład sprawiedliwości w naturze. Wspomnieć przecież wypada, że grafologia tego obrazu różni go od innych, wcześniej omówionych, ale także od tego, który przedstawia szampańską zabawę dwóch szatanów z jedną panią, zresztą białą. Pani wydaje się być zadowolona, co zrozumiałe: wszak lucifer to z łacińska „niosący światło". Światła w obrazie może i niewiele, ale łomot — straszny.

„Obsceniczne" płótna Umiastowskiego spokrewnia z naszymi graffiti coś więcej jednak, niż prostota czy prostactwo zapisu, w przypadku warszawiaka — całkowicie zresztą wyrachowane. Tym zwornikiem jest totalna kpina ze spraw męsko-damskich, która naturalizuje właściwy im skądinąd erotyzm czy seksualizm (aczkolwiek ten ostatni nie tak łatwo daje się przydusić). Bo dajmy na to — w ustępie: patrzysz, człowieku, na rysunek jegomościa na drzwiach kabiny i co? Śmiejesz się, bo jak się nie śmiać z kogoś, kto posiada trzy nogi, a ta trzecia na domiar wszystkiego nie ma palców?! Podobnych doznań dostarczają nam płótna wychowanka Dominika.

Nie zachęcałbym jednak katechetów, by prowadzili trzódkę swoją na wystawy Umiastowskiego. Nie to, że dzieci mamy głupie czy naiwne, przeciwnie — już najmłodsze populacje chwalą się rozwiniętym cwaniactwem i co będzie, jeśli któreś z nich zakwestionuje teoriopoznawczy aspekt np. szatańskiego miłowania, przypominając, że jako upadłe anioły nijak nie mogą diabły kopulować, albowiem są bezpłciowe?! Nie podważajmy zaufania młodzieży do sztuki — nosicielki prawdy o ludziach i szatanach.

Większość prac, które Umiastowski pokazał w Lublinie, eksponuje przecież inne motywy. Na płótnach spotykamy zatem psy („Idą sobie trzy psy", rzecz oparta niemal na zasadzie tautologii Zbigniewa Dłubaka z użyciem kremu „Nivea"), pseudoportrety („Rumiany Chińczyk", „Biada Japonka"), pejzaże á la Salon WPHW i PSP w Lublinie („Powrót do zatoki szczęścia"), pocztówkowe wyobrażenia o cichym szczęściu na golasa („Na Jamajce"), a nawet wizerunek „Miss Świata 1983" — o warkoczykach umajonych kwiatami i cycuszkach jak kule armatnie z bitwy pod Grunwaldem.

Ale istota tych obrazów realizuje się w sferze podobnej: szyderstwa, kipny czy choćby ironii, które stanowią główne elementy dramaturgiczne autorskiej wypowiedzi na temat dookolnego czy dalszego światka. Umiastowski, co dziś w zwyczaju, nie oszczędza też sztuki samej i jej tradycji. Z jakimś masochistycznym zapamiętaniem smaruje na płótnie orzełka, flagę biało-czerwoną, pieska, kilku grenadierów (?), akcik kobiecy — informując napisem, że jest to rzecz „O malarstwie czyli groch z kapustą...". Sposobem zapisu obraz jako żywo przypomina bazgroły ucznia trzeciej klasy szkoły podstawowej, który wysączywszy „Trybunał" lub „Tuborga" a może „Heinekena", tak wezbrał mocą twórczą, że już nic nie jest w stanie powstrzymać go przed zaatakowaniem ściany nad glazurą przy pomocy kredki „Omnium" nr 2. Dalej: przywołując klasyczny, tzw. wdzięczny motyw „Trzech Gracji", Umiastowski nadaje obliczom dam rysy trupie, w „Obrazie surrealistycznym" buduje „klimat dwuznaczności" metodą tyle prostą co waląca na kolana: pani nagiej obcina ręce i rozrzuca je niedaleko trzepaka, na którym wiesza bachora — głową w dół. Pewną słabość zdaje się przy tym autor odczuwać do wielkiego maga sztuki nowoczesnej, któremu niejako poświęca „Porwanie baby Picassa", wzmiankując o mistrzu w bodaj dwóch jeszcze czy trzech płótnach. Pozostaje wszakże sprawą otwartą, czy te zręczne pastisze są rezultatem specyficznego uwrażliwienia Umiastowskiego na autorytety i ogólnie akceptowane wartości, czy też mamy do czynienia z... hołdem dla Picassa! Chodzi o to, że Pablo Ruiz malował i takie obrazy (np. „Naga przykucnięta" w 1954 r.), które „nowi dzicy" mogliby uznać za przesłankę własnego mazania. Ot, przewrotna siła tradycji.

Nowy ekspresjonizm przydreptał do nas z Zachodu, gdzie w momencie narodzin, kilka dobrych lat temu, był manifestacją autentycznej pogardy młodych ludzi dla establishmentu, manifestacją spokrewnioną ideowo z ruchem punk. Tak malowane wypowiedzi o świecie autoryzowali często chłopcy bez żadnego wykształcenia plastycznego, bo w tym całym działaniu nie chodziło o estetykę czy sztukę w ogóle. Waldemar Umiastowski jest bardzo dobrym malarzem, to nie żarty, zna się na robocie, a tylko udaje naiwnego w sztuce. Więc mam chyba prawo zapytać: — A panu, a panu o co chodzi?!

Ale czy warto stawiać takie pytanie, skoro w jednym z obrazów Umiastowskiego znajdujemy inwokację, będącą zapewne wyznaniem wiary artysty: „Pozwól, żeby łapa malowała to, co ci szumi w jajach".

Na marginesie warto wtrącić, że jaja stają się trwałym elementem tzw. nowej sztuki. W pierwszym po wznowieniu numerze dwumiesięcznika „Sztuka" czytam oto rozmowę dwóch panów o dziejach lubelskiej galerii „Labirynt" — czytam i mam wrażenie, że gawędzą z sobą księgowi jakiejś przodującej spółdzielni jajczarsko-drobiarskiej, którzy oszałamiając audytorium statystyką, dowodzą mimochodem, iż nagrzewane przez nich jaja są wonderful, choć kontrola społeczna znajduje na fermie głównie dehydrated eggs.

Wielki folk

Anna Bocian

OGÓLNOPOLSKI Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych jest imprezą nudną jak cały folklor. Kto nie znosi skocznych i w tej skoczności do obrzydzenia monotonnych melodii ludowych — nie ma co robić na festiwalu — chyba, że został ukarany akredytacją za niewinność.

Nie jest to odosobniona i histeryczna reakcja na folklor, latami podawany w wysterylizowanej pigułce radiowo-telewizyjnej, wciskany na siłę między zęby — ludziom, którzy zawsze wolą coś mellow. Ale dość o dewiacjach cywilizacyjnych, bo niezależnie od zmęczenia życiem — chce się czasem przewiązać mózg chustką w ludowe kwiaty i poszukać wiechci w lakierkach. Zresztą — od pierwszego spojrzenia festiwal kapel wydaje się zaspokajać wszystkie ludomańskie potrzeby.

Z jednej strony paradują po rynku państwo z miasta, z pieczonymi kogutami pod pachą, z drugiej — wystafirowany „polski lud" jak szumnie napisano w tegorocznym folderze festiwalowym. Cóż za kurtuazyjne spotkanie wsi z miastem! Ale jak to w życiu, była spontaniczna muzyka pod kazimierską studnią i był obiecany za nią szampan przez miastowego, i była też figa z makiem, bo miastowe czegoś skąpe.

Pomińmy jednak festiwalową egzemplifikację subtelnych problemów społecznych. Gdy przyszła pora nocnej zabawy ludowej, w krzepkich uściskach zgodnie roznoszono w oberkach kazimierski rynek. Radość z upojenia żywiołem chmielowo-muzycznym była większa niż uprzedzenia klasowe nowobogackich. Zresztą było czym upajać i duszę i ciało.

Co do duszy — naturalnie, mdłych inteligentów upajała witalność tancerzy, grajków i śpiewaczek. Czerstwe twarze, świeże sukmany — stare kobiety z przypiskiem zarzucają chusty i już są młode. Zbyt dużo różu na policzkach, zbyt czerwone usta, oczy zbyt czarne, humor zbyt dobry — jak na to patrzeć bez kompleksów? Tu się nuci, tam w „nysce" ktoś sobie przygrywa na skrzypkach żar bucha spod nóg i instrumentów — tego wszystkiego, tak na gęsto, żadna telewizyjna estrada folkloru nie zapewni. Może nawet nie pamięta się po festiwalu tych przelotnie spotkanych pomarszczonych twarzy opalonych aż po daszek maciejówki, ale właściwie tylko w Kazimierzu można spotkać eksportową polską wieś, i między śpiewem a tańcami dostrzec jej styl i charakter.

Festiwal stał się żywym skansenem, co, prawdę mówiąc, jest jego największą chlubą. Kto jeszcze żyje, ma siłę i pamięta jak się dawniej śpiewało — ciągnie do Kazimierza ku radości specjalistów zasiadających w jury. Od ich strony festiwal nie jest wyłącznie jednym wielkim szaleństwem — raz na ludowo. Co wesołe i co jest tylko blichtrem, to swoją drogą, ale szanowni państwo: od dwu lat zaznacza się obecność na przykład pieśni pogrzebowych. Jest to często nieuświadamiana, choć poważna strona folkloru, która daje o sobie znać jak wszystko inne, co się zdarza w życiu. Również pojawił się w prezentowanych pieśniach motyw sieroctwa, począwszy od sieroctwa prostego po sieroctwo społeczne, szczególnie na wsi mające wymiar dramatu: sieroctwo bez ojczyzny (saksy), sieroctwo w sensie kondycji ludzkiej, rozumiane jako wygnanie z raju (powtórzenie tego tematu można było dostrzec na targach sztuki ludowej, w rzeźbie przedstawiającej pierwszych rodziców skuszonych przez węża).

Wielką furorę na festiwalu zrobiły w tym roku cztery surowe baby z Sichowa w czarnych strojach, tzw. baby antykołobrzeskie, śpiewające lamenty rekruckie. Baby dostały w nagrodę Basztę, podobnie jak zespół chłopów w sile wieku z Brzózy Królewskiej, śpiewających kolendy z dopowiedzeniami. I trzeba powiedzieć, że ten poważny nurt był aprobowany nie tylko przez śpiewaków, ale i przez publiczność!

Tak więc festiwal nie sprowadził się wyłącznie do krzesania ognia z instrumentów i bruku. A jak wypadło województwo lubelskie? Oczywiście dobrze jak zwykle, podobnie jak zamojskie, tarnobrzeskie i krakowskie. Ogólnie rzecz ujmując, cały festiwal wypadł dobrze (ponad tysiąc uczestników, większość nocowała w Kazimierzu i bynajmniej nie chodziła spać z kurami), mimo marnej pogody. Jak twierdzą organizatorzy, nie mógł wypaść źle, bo co roku jest więcej chętnych niż można pomieścić w Kazimierzu, no i czego jak czego, ale wigoru nigdy festiwalowi nie brakowało.

Władysław Grzeszczyk z Dobrosławowa (woj. lubelskie) otrzymał nagrodę za popularyzację muzyki ludowej na własnoręcznie wykonanym instrumencie

Fot. Mirosław Trembeck

Może po nazwisku towarzyszu Janeczko?

Marek Adam Jaworski

Są to fragmenty przygotowywanej do druku powieści pt. „Tańce w tunelu". Jej akcja toczy się w latach 1980—1981, głównie w środowisku dziennikarskim. Prezentowane fragmenty dotyczą grudnia 1980 roku; późniejsze konflikty nie były jeszcze tak ostro zarysowane. Redaktor naczelny Gazety, Doliński, rozmawia z I sekretarzem KW PZPR, Połtawskim.

[...] — Poprosiłem was — zagaił Pierwszy — bo chciałbym, abyście pojechali ze mną na zebranie do Fabryki.

Fabryką nazywano największy w mieście zakład przemysłowy.

— Spodziewam się — kontynuował Połtawski — że tam będzie gorąco.

— Chcielibyście, abym potem coś o tym zebraniu napisał do Gazety?

— Zastanowimy się. To jest zebranie organizacji partyjnej. Zwołali je na siedemnastą.

— Dawniej zebrania odbywały się zaraz po pracy... — zauważył Doliński.

— Niekiedy i z pracy urywano godzinę... A więc będziecie, tak?

[...] W Fabryce już na portierni czekał na nich Szykuła, pierwszy sekretarz Komitetu Zakładowego.

— Wpadnijcie jeszcze do mnie, towarzyszu — zaproponował. — Kawa już przygotowana.

[...] Mieszali napój, gdy zjawił się dyrektor naczelny, Kramer.

— Przepraszam, sekretarzu, za opóźnienie. Dopiero teraz coś mogłem przegryźć.

— Siadaj, siadaj, i nie tłumacz się. Dziś nie narada produkcyjna i nie ty grasz pierwsze skrzypce. Powiedz lepiej o nastrojach w Fabryce.

— Rozdyskutowali się. — Kramer spoważniał. — Narzekają na kooperację, na to, że maszyny się psują i brak do nich części zamiennych.

Kramer był dość spoufalony z Połtawskim. Ściągnął go do Fabryki wprawdzie nie on, ale jego poprzednik, niemniej Kramer umiał sobie zapewnić przychylność Pierwszego. Fabryka była wizytówką miasta, zwykle przekraczała plany i po modernizacji, przeprowadzonej w połowie lat siedemdziesiątych, wyraźnie poprawiła jakość produkcji.

— Wszystkiemu winien dyrektor, prawda? Nie masz i ty łatwego życia!

— Moich dwóch zastępców wstąpiło do „Solidarności". Jeden z drugim się gryzie, ale chyba obaj pragnęliby przede wszystkim wygryźć mnie. Jeszcze żadnej skargi nie otrzymałeś?

— Oficjalnie nie. Ale anonimy przychodzą. O, mam tu jeden. To o tobie. Posłuchaj. — Pierwszy sięgnął do kieszeni i wyciągnął jakiś świstek:

— „Chcielibyśmy — czytał — aby do naszej Fabryki przyjechała jakaś komisja i zajęła się sprawą premii. Premie zagarnia kierownictwo, a zwłaszcza dyrektor naczelny, a zwykli pracownicy nie mają nic do powiedzenia. Dyrektor naczelny w ciągu ostatnich siedmiu lat już trzykrotnie zmienił samochód. Najpierw jeździł trabantem, a teraz już ładą. Kiedy otrzyma talon na mercedesa?..." No i dalej w tym duchu. Co ty na to?

[...] — Co ja na to? — Kramer musiał być lekko zdenerwowany, ale panował nad sobą. — Co ja na to? — powtórzył. — Kłamią, bezczelnie kłamią. Kiedy tu przyjechałem, to mój trabant już się sypał. Otrzymałem talon na dużego fiata. Ale co, nie należał mi się?

— A potem na ładę?

— Tak, ale po pięciu latach. Tą ładą już rok jeżdżę.

— Widzisz, jak można wrobić człowieka! Rzeczywiście masz trzeci samochód...

— Trzeci, trzeci, ale trabanta można nie liczyć! A jeszcze dodam, że tego trabanta wcale nie otrzymałem na talon, ale kupiłem na giełdzie. Jestem czysty jak kryształ.

— Dobrze już, dobrze, przecież nie mam do ciebie żadnych pretensji, uspokój się chłopie! — Połtawski dopił kawę. — Chyba już czas na nas? Idziemy?

— Ja tylko skoczę na salę i zobaczę, czy już wszystko gotowe — Szykuła poderwał się z miejsca. Wrócił po chwili. — Prosimy, sekretarzu.

Powitała ich cisza. Nikt nie wstał z miejsca, nikt nie bił brawa. Doliński zajął miejsce pod ścianą i przypomniał sobie, jak inaczej wyglądały zebrania jeszcze rok, dwa temu. Teraz miał pełne prawo podejrzewać, że te klaki, które dawniej witały Połtawskiego, zostały uprzednio dokładnie wyreżyserowane.

— Witamy — zaczął Szykuła — na naszym zebraniu oddziałowej organizacji partyjnej przy kuźni towarzysza Połtawskiego, I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego naszej partii. Czy mógłbym towarzysza sekretarza poprosić do prezydium?

— Dajcie spokój z prezydium! Małe tutaj dobrze w pierwszym rzędzie.

Po sali przebiegł jakby szmer aprobaty. Połtawski wstał i obrócił się twarzą do obecnych:

— Chciałbym serdecznie podziękować wam, towarzysze, że zaprosiliście mnie na swoje partyjne zebranie. Nie po raz pierwszy jestem w Fabryce, znam wasze bolączki, no, może nie wszystkie, ale spotykaliśmy się tu w różnym gronie i w różnych czasach. Na posiedzeniach egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego wielokrotnie zajmowaliśmy się problemami Fabryki, cieszyliśmy się z jej modernizacji, z ofiarności załogi. Bo tu ludzie są naprawdę odpowiedzialni i twardzi. No, i chyba zżyci z Fabryką. U was fluktuacja kadr jest znacznie mniejsza niż w innych zakładach...

— Ale będzie większa, towarzyszu sekretarzu! — w głębi sali podniósł się jakiś robotnik.

— Towarzyszu Martyniak, nie przeszkadzajcie sekretarzowi! — Szykuła nie ukrywał niezadowolenia, ale Połtawski miał inne zdanie:

— No to zaczęliśmy już dyskusję. Widzę, chociaż się zastrzegałem, że lepiej jednak, gdy usiądę obok towarzysza Szykuły, będę wówczas miał was wszystkich na oku — roześmiał się. — Ale nie nazwijmy tego stołu prezydium!

Gdy Pierwszy zmieniał miejsce, Martyniak ciągnął dalej:

— Dlaczego będzie większa fluktuacja? Ano dlatego, towarzyszu sekretarzu, że nasze płace pozostały w tyle do innych zakładów. Towarzysz sekretarz mówił, że u nas pracują ludzie twardzi. Tak jest, towarzyszu sekretarzu, ale ta twardość też ma swoje granice. A jak człowiek jest zbyt twardy, to i słabiej mu ręce pracują. U nas są tacy, którzy tę Fabrykę budowali. I wtedy nie patrzyli na pieniądze, nie patrzyli, czy to świątek czy piątek. Plan to była rzecz święta. A przekroczyć ten plan to była ambicja. Nikt godzin nie liczył. Dzisiaj jednak tych budowniczych się nie szanuje. Przychodzi inżynierek i pyta po pierwsze „za ile", a po drugie zaraz się kręci za mieszkaniem. I dostaje mieszkanie. Jeszcze nie wiadomo, co z niego wyrośnie, jaką korzyść przyniesie Fabryce. Mieszkanie i koniec. A ci, którzy budowali Fabrykę, jak mieszkali, to i tak mieszkają. W norach, na strychach się gnieżdżą. Proszę zajść, towarzyszu sekretarzu, do takiego Mikołajczaka. Przodownik pracy. Już kiedy Krzyż Kawalerski dostał! A gdy dostawał, wówczas tych krzyży tyle nie dawano! Jak on mieszka? Na poddaszu. Woda mu się na łeb leje. A [illegible] chłop pod sześćdziesiątkę. My ciągle tylko mówimy o młodych. Młodym to, młodym tamto. A kiedy myśmy byli młodzi, to nam tylko kazano pracować.

Ktoś zaklaskał, ale zaraz umilkł, bo sala nie podchwyciła. Może dlatego, że w połowie zapełniali ją ludzie i młodzi, i bardzo młodzi?

[...] — Ale my tu, towarzyszu sekretarzu — Szykuła zwrócił się do Pierwszego — mamy porządek dzisiejszych obrad. Jeszcze o nim nie informowałem.

— Wiecie, porządek porządkiem, a życie życiem. Pogadajmy sobie dzisiaj bez jakiegoś protokółu. Jest na sali redaktor... Doliński, pokażcie się! Więc jest towarzysz Doliński, nowy szef naszej Gazety i myślę, że przekaże czytelnikom to, o czym dzisiaj powiecie. No, a co młodzi na to, o czym tu towarzysz Martyniak...

Przez chwilę panowała cisza, ale w trzecim rzędzie podniosła się czyjaś ręka.

— Towarzysz... — Szykuła zawahał się, bo albo zapomniał nazwiska, albo bliżej nie znał młodego człowieka.

— Ja tu słyszę: młodzi to, młodzi tamto. Huzia na młodych! Wiem, że starsi ciężko pracowali, że to oni odbudowywali po wojnie naszą zniszczoną ojczyznę. Ale, towarzysze, ile my już lat jesteśmy po wojnie?

— A gdzie wy mieszkacie? W hotelu robotniczym? — zapytał Połtawski.

— Na stancji. W czwórkę mieszkamy i od każdego leciało po 800 złotych miesięcznie. A teraz właściciel chce nam podnieść komorne o 500 złotych od łebka. Jak nie, to fora ze dwora. Pochodzę ze wsi, towarzyszu sekretarzu. Dwóch braci pojechało na Śląsk, pracują w kopalni. Jeden brat skończył medycynę. Ja jestem tutaj, a najmłodszy chyba zostanie na gospodarce.

— Przed wojną — Pierwszy podniósł głos — pięciu zostałoby na gospodarce. Tak, tak, ja pamiętam tę biedę na wsi. Każde miejsce pracy kosztuje. Myślicie, że to nam z nieba spada?

— Towarzyszu sekretarzu, przed wojną to było przed wojną, a teraz to jest teraz.

Rwetes powstał na sali. Doliński dostrzegał u jednych aprobatę, ale widział też, że niektórzy kręcą głowami. Poderwał się z miejsca jakiś siwy robotnik w kombinezonie:

— Nie można tak! My nie uciekniemy od tego, co było przed wojną! Martyniak mówił o Mikołajczaku. To prawda, że mieszka kiepsko, ale sam sobie winien. On na poddaszu, a jego syn willę wybudował. I tak wychował tego syna, że ten syn się do niego nie przyznaje. W sześciu pokojach mieszka z żoną i dzieckiem. Dwie kuchnie mają. Sam Mikołajczak opowiadał mi to, po kielichu. A młodzi by chcieli przyjść na gotowe. Mieszkanie im dać, samochód, lodówkę, telewizor kolorowy. Nagrody, premie, awanse, wszystko ma być dla nich!

— Gdzie te mieszkania, gdzie te samochody? Towarzyszu Białkiewicz, przestalibyście pleść takie głupoty! — Ten, którego Szykuła nie znał bliżej, znów dorwał się do głosu.

[...] — Towarzysze, bądźmy poważni! — Połtawski uprzedził Szykułę, który chciał coś powiedzieć. — Prawda leży gdzieś pośrodku. Nie twórzmy podziałów na starych i na młodych. Ja też kiedyś byłem młody, dziś jestem stary, no, prawie stary — poprawił się — chociaż jakoś jeszcze tej starości u siebie tak całkiem nie widzę. Ale do starości też się trzeba przyzwyczaić i jakoś żyć z nią razem. Wiecie, czas biegnie bardzo szybko, a im dalej, to już leci z górki. Jest jednak trochę prawdy w tym, o czym mówił towarzysz, towarzysz... — zawahał się na moment — towarzysz Martyniak. Ludzie starzy nie mieli pogodnej młodości. Najpierw wojna, potem odbudowa. Chcieliśmy szybko zaleczyć rany i chcieliśmy, żeby to następne pokolenie inaczej żyło. Pewne rzeczy się udały, inne nie. Popełniliśmy wiele błędów, często odkrywaliśmy to, co już dawno zostało odkryte. Był okres błędów i wypaczeń, tak my to dzisiaj nazywamy, niektórym ludziom rzeczywiście zrobiono dużo krzywdy, w tym i członkom partii, starym, bojowym, zasłużonym, prawdziwym komunistom. Ale Gomułki nie musieliśmy na szczęście rehabilitować pośmiertnie...

— A potem był grudzień siedemdziesiątego! — Ktoś rzucił z sali i zrobiła się cisza jak makiem zasiał.

— Był. Ten okres czeka jeszcze na szczegółowe analizy. Nam, komunistom, nie wolno kierować się tylko uczuciami i być pod presją chwili.

— Komunista nie ma uczucia? — znów odezwał się ten sam, co przed chwilą.

— Ma. Źle mnie zrozumieliście. Ani jednak ja, ani wy nie będziecie oceniać postępowania Gomułki. Pozostawmy to historykom. Oni spojrzą na niego z jakąś perspektywą, wyważą wszystkie za i wszystkie przeciw. Ja bym był bardziej ostrożny przy wydawaniu jakichkolwiek ocen.

Przerwał na chwilę, a potem wrócił do ostatnich wydarzeń na Wybrzeżu.

— Dialog. Dialog z klasą robotniczą. Porozumienia z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia muszą być realizowane, ale i „Solidarność" też ich powinna przestrzegać. Były kłopoty z rejestracją „Solidarności", prawda, ale przecież „Solidarność" uznała kierowniczą rolę partii. Później się z tego zaczęła wycofywać, nawet uciekła się do strajku. Wasza załoga też częściowo strajkowała. No i co? Znowu z produkcją jesteśmy do tyłu. Niektórzy spośród członków partii wstąpili do „Solidarności". Dobrze, że tam są, bo członkowie partii powinni być wszędzie. Ale ja nie powiem, żeby głos członków partii w „Solidarności" było słychać doniośle.

— Towarzyszu sekretarzu — ten, który dwukrotnie rzucał „zwischenrufy", teraz wstał i zaczął mówić bardzo głośno, prawie krzyczeć:

— Nazywam się Janeczko i należę do „Solidarności". Ale mam i legitymację partyjną. W partii jestem cztery lata. Mówicie, że głos członków partii w „Solidarności" nie jest doniosły. To prawda. Ale ja się chciałem zapytać, kiedy partia rozliczy się przed społeczeństwem ze swoich błędów? Kiedy przestanie w swoich szeregach tolerować złodziei i karierowiczów?

— Może po nazwisku, towarzyszu Janeczko!

— W Gazecie ukazał się krótki komunikat o zmianie na stanowisku wojewody. Ale nikt naprawdę nie wie, dlaczego Wolniak musiał odejść.

— Różne są ruchy kadrowe...

— Są, czytamy w gazetach.

— Musimy przyzwyczaić się do tego, że jedni ludzie odchodzą, a drudzy przychodzą. To powinien być proces jak najbardziej naturalny. U nas dotychczas tak bywało, że w każdej zmianie personalnej doszukiwano się różnych podtekstów. Czasem człowiek może być po prostu nieudolny, no nie? Uczciwy, ale nie dorósł do konkretnego stanowiska. No i co, zaraz mamy pisać, że w swoim czasie za wysoko wyskoczył?

— To trzeba lepiej oceniać kadry, stworzyć rezerwę kadrową! No dobrze, z tego, co usłyszałem wynika, że Wolniak odszedł dlatego, że nie dorósł. Ale sekretarz Gnatowski nadal siedzi w Komitecie.

— A co macie do Gnatowskiego?

— Polowanka! Willa nad jeziorem!

— Przestańcie z tą willą! Pojedziemy tam kiedyś i zobaczycie na własne oczy, jak ona rzeczywiście wygląda. — Teraz Pierwszy nieco podniósł głos. — Niekiedy zbyt łatwo oceniamy ludzi. To jest tak, jakby ktoś licytował szlema po zobaczeniu tylko sześciu kart!

Doliński przekręcił na drugą stronę taśmę w magnetofonie. Dopiero zauważono, że nagrywa dyskusję. Ten z ciągłymi uwagami teraz zwrócił się do niego:

— Towarzysz redaktor nie uprzedził, że będzie nas utrwalać?

— Przecież magnetofon cały czas stoi na oknie. Zresztą po co te pretensje?

[...] Ostatecznie dano spokój Dolińskiemu, ale fala dyskusji najwyraźniej opadła. Jeszcze ktoś mówił o problemach Fabryki, ale już raczej na okrągło, Kramer nie musiał się nawet specjalnie gimnastykować. Niemniej Szykuła był najwyraźniej zadowolony, kiedy zebranie dobiegło końca. Może się też cieszył i z tego, że nikt go nie krytykował? A przecież wszystkiego mógł się spodziewać.

Kramer zaprosił jeszcze jego, a także gości, do swego gabinetu.

— Ale tylko na chwilę! — zastrzegł się Pierwszy.

Doliński dawno tutaj nie był, toteż ze zdziwieniem spoglądał na wystrój lokalu. Te meble musiały kosztować ładny grosz! — pomyślał. I zaraz doszedł do wniosku, że Kramer nie ma najlepszego gustu. Olbrzymi, bogato zdobiony żyrandol niezbyt pasował do nowoczesnego biurka i foteli. Połtawski też wyglądał na zaskoczonego.

— Ale się urządziłeś — powiedział. — Jak odwiedziłem cię poprzednim razem, to ten pokój inaczej wyglądał!

— Udało mi się tanio kupić. Tamto to była już ruina. Wiesz, ja tu przyjmuję różnych zagraniczniaków, muszę jakoś się pokazać. Przecież tu nie chodzi o mnie, ale o Fabrykę...

— Tak... Nie dokończyłem ci czytać tego anonimu. Właśnie i o tym wystroju twojego gniazdka też w nim była mowa! I tu się autor nie pomylił, jak widzę.

— Masz mi za złe?

— Za złe, za złe... Dlaczego zaraz za złe? Ale uważam, że i ciebie powinna obowiązywać jakaś oszczędność.

— Te meble kupiliśmy dla zakładu jeszcze przed VIII Zjazdem.

— A co ma Zjazd do mebli? Za chwilę powiesz, że Gierek kazał ci je kupić. Po jakiego czorta jednak sam sobie kręcisz bicz na własną głowę? Czy ty sądzisz, że ludzie tego nie widzą, nie szepczą po kątach? Co tam szepczą! Głośno o tym mówią. Głupio by ci było, gdybyś pośliznął się na żyrandolu.

— Nie bierz tego tak poważnie, towarzyszu sekretarzu. Po koniaku wypijecie?

— Ja absolutnie nie. — Połtawski uczynił charakterystyczny ruch ręką. — Zostaw go dla jakiejś delegacji zagranicznej — dodał złośliwie. — Może coś załatwisz, coś lepiej sprzedasz? U mnie tylko będziesz miał minus.

Kramer uśmiechnął się kwaśno.

— A jak, towarzyszu sekretarzu, oceniacie zebranie? — zapytał Szykuła.

— Ludziom otworzyły się usta. Chociaż i ja w dawniejszych czasach miewałem ostre zebrania.

— A towarzysz redaktor coś o nas napisze?

— Poczytacie, poczytacie!

— O nas ostatnio źle się pisze. Kiedyś nas chwalono!

— Może za bardzo? Towarzyszu Szykuła — Połtawski klepnął go po ramieniu — kota można i na śmierć zagłaskać.

— To niby nasza Fabryka ma być tym kotem?

[...] — No i co wy na to? — zapytał Pierwszy, kiedy znaleźli się już w samochodzie.

— Na zebranie czy na gabinet?

— Co tam gabinet! Widziałem już nie gorsze i to w małych spółdzielniach u towarzyszy prezesów. Są tacy, co myślą, jak kobiety, że to niby suknia zdobi człowieka. A suknia garbu nie ukryje! Niektórym naszym towarzyszom takie właśnie garby powyrastały, a oni udają, że ich nie widzą. Czy ja wiem zresztą? Może i rzeczywiście nie widzą?

[...] Doliński nie rozmawiał wiele z domownikami, ale zamknął się w swoim pokoju i zaczął przesłuchiwać taśmę z zebrania, notując poszczególne wypowiedzi. Była to żmudna praca, ale ponieważ zabrał się do niej natychmiast, wszystko miał jeszcze w pamięci, dlatego szło mu dość łatwo. I on jednak czuł coraz bardziej ogarniające go zmęczenie. Kawa pozwoliła mu odzyskać świeżość: dzięki niej zdołał doprowadzić sprawozdanie do końca. Oczywiście nie takie sprawozdanie, które mógłby zamieścić w gazecie. To, co teraz napisał, traktował jako materiał, jako tworzywo.

Jeszcze nastawił budzik na piątą i żeby w pełni się zabezpieczyć zamówił budzenie przez telefon. A potem zwalił się na łóżko i zasnął natychmiast. Kawa przestała już działać zupełnie. Ubezpieczenie okazało się niepotrzebne, bo ostry dźwięk budzikowego dzwonka poderwał go na nogi. Wziął prysznic i usiadł przy maszynie. Po dwóch godzinach miał już tekst gotowy.

Z redakcji zadzwonił do Połtawskiego. Pierwszy zdziwił się niepomiernie:

— Co? Już napisaliście? Nie sądziłem, że z was taki szybki Bill. Co mówicie? Czy chcę przeczytać?

— Przecież towarzysz sekretarz zaprosił mnie na to zebranie i był tam poniekąd centralną postacią, myślałem więc...

— Dajcie spokój, towarzyszu Doliński! Sądzę, że wyważyliście wszystko. Zależy mi tylko na tym, abym nie wypadł jako ta centralna, jak mówicie, postać. Tu chodzi przecież o robotników, a nie o mnie. Przeczytam już jak będzie wydrukowane.

— Towarzysz Gnatowski, jak się dowie o tym zebraniu i o tym, że ja mam pisać, to zechce zapewne przeczytać ten tekst przed posłaniem do drukarni.

— Gnatowski się nie dowie, a gdyby nawet, to niech się od was odczepi. On ma dosyć innych zajęć. Propaganda właściwie leży. Ja go już wezmę do galopu! Mam tutaj nowe sygnały... Nie, nie, już nie polowanka, nie willa! No to cześć, trzymajcie się marksistowskiej busoli! A, jeszcze coś. „Solidarność" wydała swój pierwszy biuletyn. Pod tytułem „Przebudzenie". Nazwisko Michałka figuruje w stopce. Redaktor naczelny — czytam.

— Zwolnił się z miejsca. My jesteśmy wobec niego w porządku.

— Baba z wozu, koniom lżej. Wyślijcie kogoś do miasta. Przed siedzibą „Solidarności" sprzedają ten biuletyn.

[...] Wszedł Bocianowicz, ale Doliński przeprosił go na moment, bo chciał załatwić sprawę biuletynu. Okazało się, że nie trzeba było wysyłać gońca. Biuletyn doniesiono z „Solidarności". Na pierwszej stronie widniała nawet dedykacja: „Towarzyszowi Dolińskiemu, aby miał co krytykować". Pod tym podpisał się Michałek. I była nawet pieczątka: „Redaktor naczelny".

— Szybki ten Michałek! Już zdążył sobie załatwić pieczątkę.

— A ja na swoją czekałem dwa miesiące!

— Ma najwidoczniej lepsze chody niż ty.

— Ale redaktor naczelny to nie sekretarz redakcji!

— Będziesz się przejmować? Później sobie poczytamy.

Po Bocianowiczu zjawił się Jabłoński.

— Byłeś ze starym w Fabryce! Wszystko już wiem.

— Masz dobry wywiad. A ciekaw jestem od kogo?

— Szykuła to mój przyjaciel z ławy szkolnej. Z matmy miał zawsze dwóje, ale jakoś go do matury przeciągnęli. Zdał na trójczynę. Mocny był z historii. Dzwonił dzisiaj do mnie.

— Po co?

— Wiesz, jak to jest...

— Nie wiem, jak?

— On się boi, że twoje sprawozdanie może być wredne. Chciałby je przeczytać przed wydrukowaniem.

— Czy on oszalał? Nawet Pierwszy nie chciał czytać.

— Pierwszy to pierwszy, a dziesiąty to dziesiąty. Ale ja mu powiedziałem, żeby dupy nie zawracał. Byłem przekonany, że tak właśnie zareagujesz.

Szymon Kobyliński specjalnie dla „Kameny"

Przyślijcie nam ten film instruktażowy: „Jak być kochaną"?

Jan Henryk Cichosz

Dworzec w K.

na dworcu tym
spiker nie zapowiada
pociągów
zawiadowca czyta
Spenglera, Biblię i A. Christie
kasjerka
może wypisać bilet
nawet do krainy bajek

na dworcu tym
jest tylko słoneczny zegar
z którego nikt nie umie
odczytać czasu

* * *

z tej pamięci
trudno jest wyjść
jak z krajobrazu
snów kolorowych
gdzie chory ojciec
w sanatorium białych drzew
szuka wyostrzonej siekiery

Drzewnie

biegłem poprzez pokoje
za mną frunął ptak
odziany w białe pióra

drzwi od ostatniego pokoju
szeroko otwarte
na zad wycięty
gdzie na świeżych pniach
stali zupełnie nadzy ludzie
wpatrzeni w niebo

z rąk i włosów
wyrastały im zielone gałęzie
a tu gdzie oczy
mieli dziuple
z których wyglądały pisklęta

ptak krążył a jego pióra
płynęły nade mną
niczym białe chmury

i wpadły poprzez drzwi
do pokoi
gdzie w każdym łóżku
jeszcze z pościelą
pachniało snem

gdzieś w połowie nocy
ociekając światłem
ktoś biegł obok mnie
z toporem do sadu

* * *

w korytarzach mroku
sprawdzamy uczciwość zegarków
kolor włosów
niewinność dłoni
w lustrach pamięci
oglądamy jak
na krawędzi zielonego krajobrazu
zapopielałą gwiazdę grzebie starzec

a od błękitnych lasów
ścieżki po głębokich śniegach
nieobecności
prowadzą w ogrody kamienne

Rys. Józef Tarłowski

Lublin w pierwszym roku wielkiej wojny

Jan Lewandowski

GALICYJSKI „Dziennik Polski" donosił 26 sierpnia 1914 r. w wieczornym wydaniu: „Wojska nasze zajęły wczoraj Lublin po zaciętej walce z przemożnymi siłami rosyjskimi. Moskale, poniósłszy ogromne straty, cofnęli się w popłochu. Wojska nasze wzięły do niewoli kilka tysięcy jeńców, zdobyły dwie chorągwie, kilkanaście armat i karabinów maszynowych, mnóstwo amunicji i prowiantów. Konnica nasza ścigała uciekające wojska rosyjskie, zadając im wielkie straty".

Dzisiejszemu czytelnikowi historyk winien jest małe wyjaśnienie. „Nasze" wojska, to „cesarskie i królewskie" armie monarchii austro-węgierskiej.

Wiadomość, którą za „Dziennikiem Polskim" powtórzyły inne gazety galicyjskie, okazała się może nie tyle nieprawdziwa, co przedwczesna o... prawie rok.

Aczkolwiek nieprawdziwa, informacja ta miała wszelkie pozory prawdopodobieństwa bowiem zainteresowanie obszarem między Wisłą a Bugiem ze strony sztabów generalnych Austro-Węgier i Rosji było duże i sięgało lat poprzedzających wybuch wielkiej wojny. Austro-węgierski plan wojenny wyznaczał Lubelszczyźnie szczególne miejsce w działaniach c. i k. armii. Zakładał on mianowicie uderzenie siłami dwu armii z Galicji na Lubelszczyznę w kierunku Siedlec, co w połączeniu z jednoczesnym uderzeniem wojsk niemieckich z północy, z Prus Wschodnich, miało odciąć znajdujące się w Królestwie Polskim siły rosyjskie od połączeń z Rosją i doprowadzić do likwidacji tych wojsk, a państwom centralnym: Niemcom i Austro-Węgrom miało przynieść szybkie opanowanie terenu Kongresówki.

Plan rosyjski przewidywał natomiast koncentrację między Wisłą a Bugiem dwu lub trzech armii, które miały stąd uderzyć na południe, w kierunku Karpat odciąć siły austriackie, znajdujące się w Galicji Wschodniej i umożliwić głównym siłom rosyjskim, nacierającym z południowego wschodu w kierunku na Lwów i Przemyśl, szybkie zajęcie Wschodniej Galicji.

W planach obu armii, walczących w sierpniu 1914 r. na ziemiach polskich, obszar, którego polityczne, administracyjne i gospodarcze centrum stanowił Lublin, odgrywał istotną rolę. Przewidywano tutaj koncentrację i działania znacznych sił: 400—600 tys. żołnierzy każdej ze stron. W myśl tych założeń obie strony przystąpiły do działań w pierwszych dniach wojny.

21 sierpnia 1914 r. armie austro-węgierskie przekroczyły granicę między Galicją a Kongresówką, czyli ówczesną granicę rosyjsko-austriacką. Między Wisłą a Wieprzem, na lewym, zachodnim skrzydle c. i k. wojsk nacierała 1 armia, dowodzona przez gen. Dankla, mając przeciwko sobie 4 armię rosyjską, 4 armia austro-węgierska, dowodzona przez gen. Auffenberga, działała między Wieprzem a Bugiem, a jej przeciwniczką była 5 armia rosyjska.

Początkowe działania miały przebieg korzystny dla armii sędziwego cesarza Franciszka Józefa (ur. w 1830 r.) przyniosły im, jedne z nielicznych w tej ostatniej już wojnie monarchii habsburskiej, zwycięstwa. Armia Dankla, po zwycięskiej bitwie pod Kraśnikiem (23—25 sierpnia 1914 r.), spychała 4 armię rosyjską na północ, nacierając w kierunku Lublina. Te jej sukcesy legły zapewne u źródeł dziennikarskiej „kaczki" galicyjskiej prasy. 2 września 1914 r. armia Dankla osiągnęła linię Opole Lubelskie—Bychawa—Piaski, a działający na jej prawym skrzydle X korpus z Przemyśla, zdobył stację kolejową Trawniki, przerywając połączenie kolejowe między Lublinem i Chełmem. Pod Dorohuczą Austriacy przeszli na północny brzeg Wieprza.

4 armii austro-węgierskiej udało się, w działaniach określanych jako bitwa pod Komarowem (26 sierpnia—2 września 1914 r.), okrążyć większość sił 5 armii rosyjskiej. Wprawdzie likwidacja okrążonych oddziałów rosyjskich już się nie powiodła, ale bitwa pod Komarowem trafiła do podręczników szkół sztabowych w latach międzywojennych, a utalentowany dowódca 4 armii, generał piechoty Maurycy Auffenberg, otrzymał z rąk Franciszka Józefa tytuł hrabiego „von Komarów", a wkrótce potem... dymisję ze stanowiska dowódcy armii.

Wybuch wojny odcisnął wyraźne piętno na życiu mieszkańców Lublina. Konflikt zbrojny między zaborcami, na który czekało kilka pokoleń polskich działaczy niepodległościowych, stał się faktem. Solidarność zaborców, o którą rozbijały się polskie zrywy powstańcze, przestała istnieć, przekształciła się w konflikt, który w ostatecznym efekcie przyniósł kres istnienia trzech monarchii rozbiorowych, rozpad państwa austro-węgierskiego i radykalne przekształcenie istoty państwowości rosyjskiej. Wojna budziła zatem nadzieję na poprawę sytuacji Polski i Polaków, ale niosła też widmo walki bratobójczej między rodakami, odzianymi w mundury wrogich, zaborczych armii trzech cesarzy.

31 lipca 1914 r. wszystkie dzienniki lubelskie zamieściły ogłoszenie o mobilizacji. Takie same ogłoszenia pojawiły się na ulicach. W tym też dniu wprowadzono w całej gubernii lubelskiej stan wojenny.

Wkrótce rozpoczęto pobór rezerwistów. Ulicami miasta przechodziły grupy mężczyzn, przeważnie młodych, którym towarzyszyły matki, żony i dzieci. „...pociągi były przepełnione wojskiem. Wojsko nie tylko pociągami, ale wszystkimi traktami szło nieprzerwanie ku granicy austriackiej, objuczone workami z chlebem, niosąc szynele, amunicję i ciężkie karabiny. Od paru tygodni była susza, słońce paliło jak ogniem, kurz wzbijał się ku niebu, jak ciężkie chmury. Żołnierze, zlani potem, ledwie powłóczyli nogami..." — wspominała Marcjanna Fornalska.

Do miasta napłynęły sztaby i formacje tyłowe walczących na południe od Lublina wojsk rosyjskich. Niebawem pojawili się pierwsi uchodźcy z terenów zajętych przez Austriaków. Byli to głównie chłopi. „We wsiach opanował ludzi jakiś dziwny strach. Każda rodzina chłopska myślała jedno: aby zabrać na wóz co się da i uciekać — nie zdając sobie sprawy nawet gdzie [...]. O żniwach nie myślano, paśli tylko krowy i konie, aby w każdej chwili można było zaprząc konie i gnać krowy; świnie, gdy kto miał więcej, gnano, gdy jedną — wiązano sznurkiem, wtłaczano na wóz i tak już zapełniony do niemożliwości." Furmankom z chłopskimi rodzinami i dobytkiem towarzyszyły podwody z pierwszymi rannymi z armii carskiej, wśród których nie brakowało Polaków. Prawie jednocześnie pojawili się w mieście jeńcy z wielonarodowościowej c. i k. armii, a wśród nich również polscy poddani Franciszka Józefa. Lubelskie szpitale i szkoły zapełniły się rannymi.

Miasto nie poddawało się jednak panice, jaka ogarnęła południową Lubelszczyznę w czasie pierwszych tygodni wojny. „Przez te 3 tygodnie nie było w Lublinie najmniejszej paniki, (tak samo zresztą jak później, w październiku, kiedy armia Dankla była naprzeciwko Puław). Nikt miasta nie opuścił, spokój panował zupełny [...]. Lublin i Lubelskie wykazały kolosalną zdolność do organizowania się i pomocy. Na specjalne uznanie zasługuje działalność Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej, dzięki której tysiącom rannych uratowano życie.

Cała ludność okazywała na wszelkie sposób pomoc wziętym do niewoli jeńcom austriackim, których ratowano od męczarni głodu (przyprowadzani byli do Lublina jeńcy, którzy po kilka dni nie jedli)" — odnotował autor anonimowego „Listu z Lublina".

Wybuch wojny rozbudził też pewne nadzieje na podjęcie przez walczące strony sprawy polskiej. Początkowe sukcesy austriackie i dotychczasowa polityka caratu, kierowały oczekiwania w stronę c. i k. monarchii, tym bardziej, że „przez pierwsze dwa tygodnie komunikacja z Galicją nie była przecięta, a wojska rosyjskie cofały się na całej linii [...] ludność gorączkowo wyczekiwała z drugiej strony manifestu ogłaszającego niepodległość Polski i nie doczekała się."

Austriaków uprzedzili Rosjanie. 14 sierpnia 1914 r. głównodowodzący armii rosyjskiej, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, wydał manifest do Polaków, w którym — obok zręcznych sformułowań, odwołujących się do marzeń ojców i dziadów oraz do tradycji Grunwaldu — zawarto bardziej konkretne obietnice, chociaż również podane w niezobowiązującej formie:

„Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części Naród Polski.

Niech Naród Polski połączy się w jedno ciało pod berłem Cesarza Rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska, swobodna w swej wierze, języku i samorządzie."

Obietnice nie szły zatem zbyt daleko, a przy tym podpis głównodowodzącego nie miał mocy wiążącej dla cara, niemniej jednak warszawscy realiści, endecy i postępowcy uznali manifest „jako akt pierwszorzędnej wagi historycznej". W końcu listopada 1914 r. przedstawiciele orientacji prorosyjskiej, wywodzący się z tych partii, pobudzeni odezwą wielkoksiążęcą i sukcesami rosyjskimi w Galicji, utworzyli Komitet Narodowy Polski, któremu przewodniczył Dmowski.

Reakcja Lublina była znacznie bardziej powściągliwa. „O odezwie W. Księcia — pisze autor cytowanego wyżej, anonimowego «Listu z Lublina» — odzywali się ironicznie nawet narodowi demokraci, a ani jeden z wybitniejszych mieszkańców miasta nie podpisał żadnego adresu hołdowniczego do Cara lub W. Księcia [...]".

Na początku września 1914 r. zaczął się odwrót armii austriackich z Lubelskiego, spowodowany zajęciem Wschodniej Galicji przez wojska rosyjskie, które zostały zatrzymane przez Austriaków dopiero w grudniu 1915 r. na linii: ujście Dunajca do Wisły — Gorlice — grzbiety Karpat. Lublin znalazł się na dość odległym zapleczu frontu (najbliższe działania to oblężenie Przemyśla przez armię rosyjską). Po wstrząsie pierwszych tygodni wojny, życie gospodarcze, społeczne i polityczne zaczęło się przystosowywać do nowych, wojennych warunków.

We wrześniu 1914 r. powstał Lubelski Miejski Komitet Obywatelski — półoficjalny, działający za zgodą władz carskich organ samorządowy, mający na celu chociażby częściowe złagodzenie najbardziej dotkliwych skutków wojny, takich jak bezrobocie, brak źródeł utrzymania czy dachu nad głową. Komitet prowadził akcję charytatywną, pośrednictwo pracy, organizował pomoc dla rodzin rezerwistów i zaopatrzenie w artykuły pierwszej potrzeby. Prezesem Komitetu był Bolesław Sekutowicz, jego zastępcą ks. Karol Dębiński, skarbnikiem Mieczysław Kuliński, sekretarzem — Jan Turczynowicz, a wśród członków był m. in. Wacław Moritz. Członkowie Komitetu wywodzili się z klas posiadających, a pod względem politycznym związani byli przeważnie z narodową demokracją. Odżegnujący się oficjalnie od polityki Komitet, miał więc wyraźną barwę polityczną.

Przeciwnicy polityczni obozu narodowego w Lublinie znaleźli się w sytuacji znacznie trudniejszej, jednakże ani aresztowania ze strony władz rosyjskich, ani militarne sukcesy wojsk carskich w 1914 r. nie przerwały ich działalności. Do najważniejszych ich poczynań na gruncie lubelskim należało powołanie we wrześniu 1914 r. miejscowego oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), zakonspirowanej organizacji zbrojnej, utworzonej w Królestwie z inicjatywy Piłsudskiego z miejscowych członków Strzelca i Polskich Drużyn Strzeleckich. POW organizowała akcję dywersyjną i wywiadowczą na tyłach wojsk rosyjskich, szkolenie wojskowe i sanitarne. Kolportowano „bibułę" niepodległościową i organizowano przerzut przez front do walczących w składzie armii austro-węgierskiej Legionów Polskich. POW utrzymywała kontakt z lubelskimi drużynami harcerskimi. Na przełomie 1914 i 1915 r powstał w Lublinie żeński oddział POW Stefania z Tallat-Kiełpszów Trębicka tak wspominała rok szkolny 1914/1915:

„Chłopcy harcerze ćwiczyli z bronią po nocach. Wiedziałyśmy już o ruchu niepodległościowym, o Legionach. Miałyśmy w drużynie fotografie Marszałka Piłsudskiego, wówczas Brygadiera. Był to największy skarb drużyny. Była ona przechowywana w pudełku wysłanym watą i podawana z rąk do rąk z piet. zmem. Wprost nie śmiałyśmy jej dotknąć rękami.

Już wtedy utrzymywałyśmy kontakt z POW. U mnie w domu została uruchomiona szwalnia.

Otrzymywałyśmy materiały i szyłyśmy plecaki, chlebaki, bieliznę dla legionistów.

W domu była broń, którą brat mój, czynny członek POW przechowywał, przywiązując ją drutem do łóżek pod spodem.

I tak wszyscy w domu spaliśmy na broni, więc «wsypa» mogłaby się fatalnie skończyć.

Na wiosnę 1915 r. Moskale aresztowali kilku harcerzy i cowiaków i wywieźli na Sybir. Wzmogły się obserwacje i aresztowania. Często kręcili się koło naszego domu jacyś podejrzani osobnicy.

W okopach pierwszej wojny: legioniści polscy.

Niejednokrotnie, przenosząc broń, czułam na sobie przejmujące spojrzenie różnych «szpicli», których jednak przeważnie znaliśmy, instynktownie wyczuwając ich obecność — i... przechodnie bramy w Lublinie okazywały się wtedy nadzwyczajnym wynalazkiem."

W grudniu 1914 r., działające dotychczas w pojedynkę lub w mniejszych grupach, partie i organizacje lubelskie utworzyły Komitet Zjednoczonych Stronnictw i Organizacji Niepodległościowych Ziemi Lubelskiej. Objął on PPS, NZR, Narodowy Związek Chłopski, Polskie Zjednoczenie

„Miałyśmy w drużynie fotografię Marszałka Piłsudskiego, wówczas Brygadiera..."

Narodowe, Konfederację Polską, Lubelską Organizację Niepodległościową i Ligę Młodzieży Narodowej. Już sama liczba wymienionych organizacji świadczy o dużym rozdrobnieniu i wewnętrznym zróżnicowaniu obozu niepodległościowego. Pod tym względem Lublin nie różnił się od reszty Kongresówki, natomiast specyficznie lubelskie było właśnie zjednoczenie wszystkich grup niepodległościowych, które w różnych ośrodkach zaboru rosyjskiego działały wówczas w trzech osobnych blokach stronnictw.

Lubelski Komitet starał się utrzymywać kontakty z Warszawą, Radomiem i Kielcami i inspirować również w tamtych ośrodkach zjednoczenie organizacji antyrosyjskich. Na swoim terenie Komitet rozbudowywał sieć organizacyjną i prowadził „ura-

Orzeł Legionów Polskich.
Reprodukcje Zbigniew Jaśkiewicz

bianie opinii publicznej w kierunku czysto polskim", informując ją o wydarzeniach po obu stronach frontu, o Legionach, działalności władz rosyjskich w okupowanej Galicji. Organizowano zebrania partyjne i „luźne", prowadzono też kolportaż wydawnictw, broszur i czasopism, zarówno warszawskich, jak własnych. Utrzymywano kontakt z POW.

(Dokończenie nastąpi)

Oj, będzie mi smutno

Edward Smyk

**„PROSIMY o przydział dodatkowej masy towarowej w postaci mięsa do przetworów — 3 t, wyrobów mięsnych gotowych — 3 t, tłuszczu 3 t, mąki żytniej do wypieku chleba — 10 t, piwa 200 hektolitrów, kwasu węglowego — 1000 kg, kwasu cytrynowego — 200 kg, konserw rybnych — 1000 kg, jelit naturalnych cienkich — 500 mb, podrobów — 1000 kg, galanterii czekoladowej — 1000 kg, płótna biało-czerwonego — 1000 mb, płótna białego — 800 mb, czerwonego — 1000 mb, niebieskiego — 200 mb, zielonego — 200 mb" — tak 24 lata temu pisał do kierownika Wydziału Handlu PWRN w Kielcach Tadeusz Rolak, przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, w imieniu Komitetu Organizacyjnego Obchodów Dni Kolberga w Przysusze. Pismo to, pedantycznie wyliczające potrzeby bardzo prozaiczne, a konieczne jednak do pomyślnej realizacji najbardziej podniosłych uroczystości, było ostatnim, zamykającym dzieło organizacji tej imprezy. Niejako na drugim biegunie sytuowało się 50 zaproszeń, skierowanych do czołowych działaczy politycznych i państwowych, do luminarzy nauki polskiej (m. in. do redaktora naczelnego „Słownika języka polskiego"), nie mówiąc już o władzach miejscowych i zasłużonych obywatelach regionu. Pisma te zostały wysłane w 1960 r. z Przysuchy w 70 rocznicę śmierci Kolberga i w pierwszym roku obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Nie jest dokładnie znany los prośby w sprawie podrobów i jelit naturalnych cienkich — można jedynie przypuszczać, że została ona załatwiona pozytywnie. Co zaś do listów kierowanych wysoko, w teczce dokumentów pracowicie gromadzonych przez miejscowego kronikarza, Kazimierza Dróżdża, znalazłem liczne telegramy od osób oczekiwanych w Przysusze. Przedstawiciele najwyższych władz potraktowali zaproszenie wyłącznie grzecznościowo i odpowiedzieli uprzejmymi acz zdawkowymi depeszami. Szerzej swą odmowę umotywowali i kwiecistsze gratulacje przesłali luminarze.

Mniejsza już o premierów i ministrów, którzy nie mają nigdy czasu, ale trudno przejść do porządku rzeczy nad faktem, że impreza została zdradzona przez swoich. Oto odpowiedź sekretarza generalnego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego: „Dotacji specjalnej na ten cel Zarząd Główny dać nie może, ale zgodnie z wysuniętą przez was sugestią godzi się na wydanie przez Oddział Kielecki afiszu względnie ulotki o uroczystości i pokryje rachunek kosztów z tego tytułu". Zaś Oddział PTL w Toruniu tak odpowiedział na zaproszenie: „Dziękując za zaproszenie na Waszą uroczystość, z żalem komunikujemy, że nie będziemy w stanie wziąć w niej udziału. Usprawiedliwiamy swoją nieobecność organizacyjnym i programowym udziałem członków w uroczystości milenijnej, której inauguracja przypada właśnie na 5 VI br. Przesyłamy życzenia owocnych obrad i osiągnięcia wyników w pełni uzasadnionych dla udokumentowania pomnikowych wartości dzieła Oskara Kolberga". Zaś zespół „Krakowiacy", który organizatorzy — z tej racji, że przecież Przysuchę (gdzie Kolberg się urodził 22 lutego 1814) powinny łączyć z Krakowem (gdzie Kolberg zmarł 3 czerwca 1890 r.) serdeczne więzy — prosili o nieodpłatny występ, odpowiedział z liście krakowską galanterią, że przedstawiciele zespołu złożą w tym dniu wiązankę kwiatów na grobie wielkiego etnografa na cmentarzu rakowickim.

Premierowa impreza zgromadziła około 10 tys. ludzi, co owszem — przysporzyło Przysuskiemu Towarzystwu Kulturalnemu im. Oskara Kolberga, gospodarzowi „Dni" niemało satysfakcji, nie rekompensując jednak chyba w pełni wyżej wspomnianej absencji. Zamierzona wysoko, zaraz potem impreza przybrała kształt lokalny.

I tu rodzi się dylemat, być może sięgający głęboko aż do tzw. psychiki narodowej. Czy organizatorzy Dni Kolbergowskich: Piotr Wrzeszcz, Tadeusz Rolak, Stanisław Krasowski, Wrzosek, Siufarski, Fidos, Dróżdż i inni słusznie zrobili, pasując po pierwszym przykrym doświadczeniu i spuszczając z tonu ogólnopolskiego do przeciętnej powiatowej biedy?

Faktem jest, że impreza zwichnięta przy porodzie kulała do tego stopnia, iż matador prasy kieleckiej czuł się upoważniony udzielić cennej rady: „Każde miasteczko w innych krajach (np. we Włoszech) zabiega o to, by mieć swoją „żyrafę", czyli osobliwość wyróżniającą ją na tle innych miejscowości. Taką „żyrafę" ma Przysucha (choć brzmi to zabawnie) w osobie Oskara Kolberga". Oj, zabawnie, panie redaktorze!

I tak to Henryk Oskar Kolberg, który wychowywał się razem z Fryderykiem Chopinem i aby mu dorównać dokonał wiekopomnego dzieła, z racji którego porównywany bywał często do Kolumba, stał się „żyrafą"!

Impreza umierała. W 1977 r. WDK pisze w sprawozdaniu, że „odbywające się od kilkunastu lat, nie jest już atrakcją dla mieszkańców miasta i okolic, gdyż każdego roku jest przeprowadzana w podobny sposób". Ktoś trafnie analizuje sytuację i dodaje: „Czy nie warto by jednak sięgnąć do dzieł Oskara Kolberga, nawiązujących do obrzędowości i zwyczajów tego regionu i wykorzystać ten materiał do opracowania scenariuszy a nawet widowisk plenerowych, których wykonawcami byliby członkowie zespołów i kapel".

Z tej myśli zrodził się I Wojewódzki Przegląd Folkloru i Twórczości Ludowej Przysucha 1978 — kontynuowany do dzisiaj. To na krótko ożywiło imprezę, gdyż w woj. radomskim nie brakuje autentycznych i stylizowanych kapel i zespołów ludowych. Były nawet próby sięgnięcia do Kolberga, niektóre zespoły (np. z Wieniawy) z dużym powodzeniem inscenizowały wesela i inne widowiska obrzędowe. Czy w ten sposób zrealizowane zostały postulaty inicjatorów, w których imieniu w 1960 r. w jedynej, jak dotąd, wydanej z tej okazji jednodniówce („Kolberg") Stanisław Krasowski pisał: „utworzony w Przysusze Komitet Obchodów Dni Kolbergowskich, z inicjatywy i pod przewodnictwem inspektora szkolnego, posła na Sejm, Piotra Wrzeszcza, zrobi wszystko, aby godnie uczcić pamięć wielkiego badacza i etnografa"? Na pewno nie! Tym ludziom przyświecały również cele bardzo praktyczne. Chcieli doprowadzić do rozkwitu miasta, a przynajmniej jego kultury. Niewątpliwym sukcesem, ale już bardzo odległym w czasie, było zbudowanie dosyć okazałego domu kultury, założenie skromniutkiej izby pamięci w tzw. lamusie i wmurowanie tablicy pamiątkowej na domu (obecnie apteka w rynku), w którym żył i prawdopodobnie również urodził się (chociaż nie ma na to niezbitych dowodów) Oskar Kolberg. Ale porażki mają większą wagę: dworek Dębińskich, przeznaczony na muzeum biograficzne Kolberga, jest ciągle okupowany i dewastowany przez zupełnie przypadkowych użytkowników. Nie ma też dawno zapowiadanego pomnika etnografa. Jeszcze mniej zrobiono w sferze żywej kontynuacji dzieła Kolberga. Można wymienić kilka nazwisk-haseł działalności ludoznawczej: dyrektorki Muzeum Instrumentów Ludowych w Szydłowcu — Danuty Paprockiej, Adolfa Krzemińskiego — instruktora WDK, Stanisława Arabrońka — dyrektora GOK Wieniawa. Może jeszcze kilka, może nawet kilkanaście — niech będzie, nie o to chodzi. Brakuje ogólnej koncepcji, sensownej koncentracji wysiłku badawczego i animatorskiego. Jedyny badacz z prawdziwego zdarzenia, którego śmiało można uznać uczniem i kontynuatorem dzieła Kolberga — Władysław Sobczyk — pracuje w osamotnieniu.

Dodajmy, że wiodąca placówka upowszechniania kultury (WDK) w roku jubileuszowym („170 rocznica urodzin") zdobyła się tylko na kuriozalne wydawnictwo pt. „Oskar Kolberg w zagadkach", zawierające kilkanaście rebusów, krzyżówek, wirówek, szyfrogramów, logogryfów, kalamburów...

Zczezłaby pewnie i zmarniała ta impreza, gdyby nie uratował jej nowy pomysł. Jak często bywa, pomógł szczęśliwy przypadek. Otóż w Zbożennej koło Przysuchy stał nieszczególnie zabytkowy, ale dosyć ładny, choć w ruinie, pałacyk. Co nie udało się żadnemu uczonemu konserwatorowi, powiodło się łebskim handlowcom. Pałacyk kupił, wyremontował i zaadaptował na ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy Zarząd Główny WSS. I to uratowało Dni Kolbergowskie. Naprawdę!

W Radomskiem ożywioną działalność od wielu lat rozwija dr Stefan Rosiński, etnograf, dyrektor Muzeum Wsi Radomskiej. Szczególną pieczą otacza on rzeźbiarzy ludowych. Ściślej — postludowych, gdyż żaden chyba z jego podopiecznych nie mieszka na wsi i nie jest rolnikiem (emerytowany milicjant, czynny zawodowo elektromonter, inżynier—rencista ...). A już najszczególniejszą wagę przywiązuje ten badacz i animator do tzw. rzeźby monumentalnej, której to idei twórcą jest, zdaje się, on sam. Rzeźba ludowa monumentalna tym różni się od zwykłej, czyli tradycyjnej, że jest ogromniastych rozmiarów (żeby każdy widział tę ludowość). No i tym, że jest z reguły szkaradna. Ale to nikomu nie przeszkadza. Na każdym prawie skwerku Radomia i Kozienic (najsilniejsza ostoja artystów tego typu) stoją te paskudztwa i nic. Ludzie się jakoś przyzwyczaili... Ale do rzeczy. Dr Stefan Rosiński uratował Dni Kolbergowskie. Mianowicie organizował już wcześniej plenery dla wyhołubionych przez siebie artystów w ośrodku wypoczynkowym w Turnie koło Białobrzegów. Zwiedziawszy się o powstaniu nowego ośrodka, natychmiast rozpoczął działania, które zakończyły się pełnym sukcesem. W związku z okrągłą rocznicę kolbergowską rozpisano konkurs na rzeźbę traktującą o postaci i pracy wielkiego badacza. A ponadto w rzeczonej Zbożennej urządzono plener dla około dziesięciu wybrańców. Wycięto szybciutko spory kawał starej alei lipowej przy dworku (na materiał) i artyści szparko wzięli się do roboty. Po tygodniu dzieła à la głowy z Wysp Wielkanocnych były gotowe. Tylko uprzątnąć drzazgi po pile mechanicznej, która jest ulubionym narzędziem tych artystów.

— Stop! — krzyknął wówczas uczony dyrektor. — Niech tak zostaną, by świadczyć o waszym trudzie i mozole. Na zakończenie pleneru zaprosimy na biesiadę folklorystyczną najofiarniejszych działaczy i najwybitniejszych artystów i będziemy się bratać!

Jako rzekł, tak się i stało. Tylko z tym brataniem nie wszystkim wyszło. Otóż pod koniec biesiady, gdy zarówno dyrektor Rosiński, jak i jego najwybitniejszy twórca (aktualnie prezes STL) Władysław Gruszczyński oraz Stefan Młodawski i towarzysząca im świta zaufanych znikli w głębiach pałacyku — usłyszałem głos zrozpaczonego twórcy — śpiewaka, który zdzierał sobie cały wieczór gardło: — Piją i balują, a ludziom nawet kolacji nie dali! — Poczuwając się jednak do obowiązku, a może chcąc gorliwością wkupić się w dyrektorskie łaski, natężył się jeszcze raz i ryknął:

Dokończenie na str. 10

Matolenie czy uczenie?

Dokończenie ze str. 1

chologicznych przeprowadzonych w klasach od pierwszej do czwartej przy końcu lat 70-tych.

J. Piaget (psycholog francuski) na podstawie 40-letnich badań poświęconych rozwojowi operacji umysłowych dzieci ustalił następujące kwestie: „za pomocą tzw. analizy genetycznej wyjaśniono podstawowe prawidłowości, iż przejście od struktur konkretnych, to jest rozumowania opartego bezpośrednio na przedmiotach konkretnych, do struktur abstrakcyjnych, jest możliwe dzięki grupie czterech przekształceń" (P. Fraisse, J. Piaget, „Inteligencja", PWN 1967). W dalszej części swoich wywodów psycholog wylicza i nazywa cztery następujące po sobie fazy rozwoju umysłowego dziecka: 1) fazę pojęcia stałości, 2) ugrupowania, czyli klasyfikacji, 3) operacji przestrzenno-czasowych, 4) operacji formalnych. Ta ostatnia, zawierająca w sobie kombinatorykę i logikę zdań, dojrzewa na gruncie operacji konkretnych około 14—15 roku życia. Zdolność posługiwania się pojęciami abstrakcyjnymi oraz wykrywanie związków między nimi kształtuje się więc dopiero w 7 lub 8 klasie szkoły podstawowej.

Piaget szczególnie podkreśla, iż przeskoczenie którejkolwiek fazy rozwoju umysłowego dziecka jest niemożliwe z wielu powodów, między innymi i z tego, iż „kolejność struktur operacyjnych związana jest z dojrzewaniem systemu nerwowego". Dlatego też dziecko w wieku 7—8 lat nie jest w stanie przyswoić sobie pojęcia liczby większej i liczby mniejszej tylko na podstawie przekazu werbalnego, jeżeli nie zobaczy tego na konkretnym materiale, to jest na patyczkach lub paluszkach. A przy tym musi ono wykonać czynności manipulacyjne liczenia i stwierdzić, że na przykład w jednej kupce jest 8 patyczków, a w drugiej — 3. A więc 8 jest więcej niż 3. Tak powstaje pojęcie liczby większej, które się później generalizuje.

Dalej Piaget powiada: „Jest wprost zaskakujące, że aż do okresu 11—12 lat poziom operacyjny wyprzedza ekspresję słowną: dowodzi tego całe stadium operacji konkretnych, ukazując związek struktur operacyjnych nie tyle z ich werbalizacją, co z koordynacjami czynności". W matematyce — z czynnościami ruchowymi liczenia.

A jak do tego zagadnienia ustosunkowali się nasi programiści? Oczywiście po swojemu, to znaczy najpierw wyrzucili z pierwszej klasy szkoły podstawowej patyczki, liczydła i inne konkretne pomoce jako przeżytek burżuazyjny. Czyli zlikwidowali to wszystko, co w tym okresie jest niezbędne do nauczania matematyki, do wykonywania tzw. czynności manipulacyjnych, dzięki którym rozwijają się zdolności rozumowania arytmetycznego.

W konsekwencji — działania na konkretnych przedmiotach zastąpiono zbiorami i podzbiorami, czyli obrazkami. A skąd dziecko ma wiedzieć, że kury jako ptaki należą też do zwierząt, skoro biologia w szkole wykładana jest przecież później?! Kury dla pierwszoklasisty są tylko kurami i niczym więcej. Dlatego też dla dziecka w tym wieku każdy zbiór w sensie „należy", „nie należy" jest po prostu pusty, podkreślam p u s t y, gdyż pewne operacje bardziej zbliżone są do operacji formalnych niż konkretnych.

Następnie w pierwszej klasie utrwalanie i doskonalenie umiejętności dodawania i odejmowania dokonuje się na tzw. grafach, które wymagają dobrego rozeznania relacji między liczbami w celu ustalenia kierunku działania. A poza tym są to działania z jedną niewiadomą, którą stanowi tu znak zapytania. Mam poważne wątpliwości, czy tym złożonym sposobem dziecko wydoskonali dodawanie i odejmowanie. O efektach napiszę dalej.

Co na to wszystko nauczyciele? Przede wszystkim większość moich rozmówców podkreślała, że programy nauczania, zarówno w początkowych klasach jak i starszych, są dostosowane tylko do poziomu umysłowego uczniów zdolnych. Natomiast liczba tych zdolnych i bardzo zdolnych — obliczając na podstawie krzywej Gausa — wynosi 16 proc., czyli średnio pięcioro dzieci w klasie. Pozostali mają duże trudności w zrozumieniu tego, co im się przekazuje. Zdaniem nauczycieli, dziecko „samodzielnie nie może ruszyć prostego grafu, po prostu nie wie, o co tu chodzi. Równania z jedną niewiadomą zupełnie niepotrzebne w I klasie. Sama forma przekazu w podręcznikach jest bardzo trudna, na przykład dzieci czytają zdania, w których wyrazy „jest, są", zastąpione zostały myślnikami, tymczasem uczeń tego znaku jeszcze nie zna (nie wie, że zastępuje on orzeczenie) i zdania nie rozumie".

Poza tym nauczyciele utyskują na zbytnią różnorodność materiału i szerokość. To wszystko zgłaszają do wizytatorów, którym mówią wyraźnie, że program jest zbyt obszerny i niedostosowany do poziomu umysłowego większości uczniów. Ale wizytatorzy akurat nie po to przyszli...

Na zlecenie Ministerstwa Oświaty i Wychowania zostały przeprowadzone badania psychologiczne dzieci w klasach od pierwszej do czwartej w poradniach zawodowo-wychowawczych. Między innymi miały one dać podstawę do zweryfikowania stopnia trudności programów szkolnych w początkowych klasach. Opinia psychologów była jednoznaczna: dzieci o przeciętnej inteligencji nie dają sobie rady z tym programem. W przypadkach wad dyslektycznych lub innych nawet dzieci z wysoką inteligencją nie radzą sobie z programem. I co z tego? W ministerstwie zapewne przeczytano wypowiedź psychologów, zrobiono reformę i... dołożono jeszcze więcej materiału.

Jestem bardzo ciekawy, kto zatwierdza podręczniki, to znaczy jaki fachowiec i czy w komplecie zatwierdzaczy jest psycholog, jako jedyny, który orientuje się w rozwoju umysłowym dzieci?

Na pewno nie aprobował psycholog podręcznika do nauczania matematyki w klasie VII. Autorami tego arcydzieła są: Halina Siwek i inni, czyli spółka. A redaktor M. Prandota pyta w prasie: Dlaczego dzieci nie lubią matematyki? Uważam, iż ostateczną i wyczerpującą odpowiedź znajdzie w tym podręczniku, ponieważ każdemu dziecku, które zajrzy do tej książki, pozostanie przekonanie do końca życia, że matematyka to taki przedmiot, jakiego nie można zrozumieć. W związku z powyższym trudno jest napisać nawet skrótową recenzję podręcznika, po prostu pióro dęba staje — jak mawiał jeden z naszych pisarzy. Zacytuję więc tylko jeden paragraf pt. 1.6. Obliczamy prawdopodobieństwa:

Losujemy jeden żeton spośród 12 żetonów: 7 czerwonych, 3 zielonych i 2 białych (żetony tego samego koloru są nierozróżnialne). Jakie są możliwe wyniki losowania żetonów? Jakie są prawdopodobieństwa wyników tego losowania? Narysuj drzewo opisując losowanie żetonów. Uzasadnij, że nie zmienią się wyniki losowania, ani ich prawdopodobieństwa, gdy losować będziemy spośród 14 żetonów czerwonych, 6 zielonych i 4 białych. Wykorzystaj narysowane drzewo. Przy jakiej zmianie ilości żetonów do losowania nie zmieniają się ani wyniki losowania, ani ich prawdopodobieństwa?

Drzewa opisują wyniki i ich prawdopodobieństwa rzutów różnymi kost-

Oj, będzie mi smutno...

Dokończenie ze str. 9

Oj, będzie mi smutno,
jak mi pytę utną,
jak mi utną tę łodygę,
czym ja będę rżnął Jadwigę?

Niestety i ten rozpaczliwy wysiłek nie został doceniony. Artyści — ci pośledniejsi, czyli nie rzeźbiarze, a tylko muzykanci i śpiewacy — pohukali trochę jeszcze (liczni gapie gracko im wtórowali) i powoli zaczęli się rozłazić. Już i mnie, postronnemu obserwatorowi, cnić się zaczęło, więc wlazłem do środka pałacyku, by dowiedzieć się, czy kierowca WDK ze sprzętem nagłaśniającym oraz z teczką jednego z ważniejszych pracowników kultury nie mógłby już, z uwagi na późną porę (pierwsza, druga po północy), być odprawiony do Radomia. Kierowca bowiem należał, niestety, do wymierającego gatunku służbistów: „nie mam polecenia odjazdu, muszę czekać". Potknąłem się, zaraz za progiem, na stosie butelek i szpetnie potłukłem, nic nie wskórawszy. W tej sytuacji kierowca o dźwięcznym imieniu Waldek dał się namówić na użycie klaksonu. Po godzinnym trąbieniu wyszedł do nas z pałacowego wnętrza ów pracownik od teczki. Zganił za niecierpliwość i niechętnie zakomenderował odjazd. W drodze jednak humor mu się poprawił, wyjął z teczki jedną „alpagę" i wręczył nam, tzn. dwóm elektrykom i mnie: „Mata, pijta. Ja mam już dość".

I tak szczęśliwie zakończyły się 24 z kolei Dni Kolbergowskie, zgodnie z dewizą uczonego wypowiedzianą na łożu śmierci: — „Według sił swoich zrobiłem co mogłem, a ludziom innym przyda się to na długo".

Edward Smyk

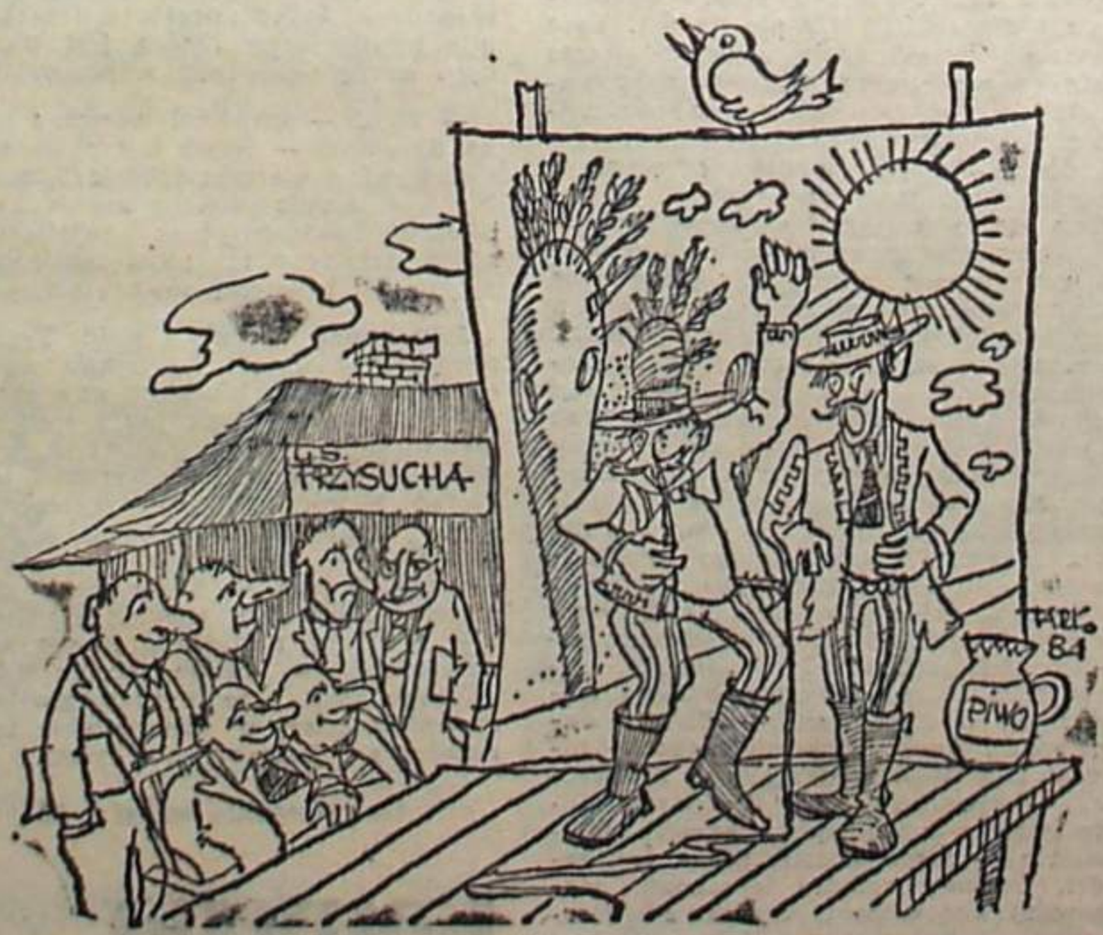

Fot. Józef Tarłowski

Ala jeszcze ma kota!

W lubelskim Klubie MPiK przy ul. Leonarda czynna jest wystawa elementarzy, książek do nauczania początkowego i czasopism przydatnych dzieciom na początku drogi do świata dorosłych, który wabi je — naiwne — swymi wielkimi możliwościami, choćby np. wolnością wyboru programu telewizyjnego i godziny nocnego spoczynku.

W oszklonych gablotach, zaopatrzonych w okazałe plansze z informacjami o danym kraju, barwią się okładki 328 egzemplarzy takich wydawnictw nadesłanych do Polski z 36 państw Europy, Afryki, Azji, USA i Kanady, przy czym najwięcej, bo aż 55 tytułów pochodzi ze Związku Radzieckiego, gdzie każda z republik ma własny elementarz w języku określonej narodowości, o czym nie każdy wie, choć każdy wiedzieć powinien, by nie kompromitować się nieuctwem przed własnymi dziećmi.

Na pomysł skolekcjonowania elementarzy z całego świata wpadła pani Zdzisława Filipkowska z Zarządu Głównego TPD, zyskując praktyczne wsparcie u pracowników naszych ambasad, którzy potraktowali sprawę con amore, no i w rezultacie mamy w Lublinie to, czego nie znajdziesz w żadnym innym mieście Polski, a może i dalej. Myślę, że ludzie zatrudnieni w ludowej służbie dyplomatycznej tak spontanicznie i bezinteresownie zabrali się do dzieła, ponieważ: albo mają dzieci, albo też uradowała ich ta niezwyczajna okazja do społecznie pożytecznej wyprawy w zamglone sentymentem rejony własnego dzieciństwa. Tak to już bywa: dzieci chcą być dorosłe, nam marzą się krótkie spodenki, igraszki w piasku i wolność od odpowiedzialności.

Wystawę urządziło — i nie zamierza zrezygnować z posiadania zbioru — Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch" w Lublinie, wspomagane przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką (pani Donata Wierzchucka), która przygotowała ekspozycję pod względem merytorycznym, a wcześniej, od 1983 roku, przyjmowała nadsyłane wydawnictwa. Na konferencji prasowej poprzedzającej otwarcie wystawy (odbyło się 29 czerwca) dyrektor „Ruchu" Zbigniew Frąc, z przejęciem relacjonował okoliczności powstania kolekcji, choć jest to człowiek bywały, jak pamiętamy — wyjątkowo sprawnie zawiadujący niegdyś trudnymi sprawami lubelskiej kultury. Stan jego ducha zrozumiałem po obejrzeniu ekspozycji.

Niektóre podręczniki są skromne, czasami małobarwne lub nawet czarno-białe, inne chwalą się lakierowanymi okładkami i wabią oko świetnie wydrukowanymi kolorami oraz atrakcyjną grafologią obrazków. W elementarzach Trzeciego Swiata — szczególnie w tych, którymi posługują się dzieci krajów mahometańskich — spotyka się wiele porad dotyczących życia codziennego, co jakoś zrozumiałe, albowiem od instrukcji tego rodzaju roi się już w Koranie. Brzdące holenderskie poznają język ojczysty przy pomocy bajek; Hiszpanie edukują swoje potomstwo na odpowiednich sztuczkach teatralnych; w elementarzach szwedzkich nie ma co szukać treści militarnych, które z kolei przewijają się przez niektóre wydawnictwa bliskowschodnie lub albańskie; w podręcznikach chińskich nie ma zdjęcia Mao, ale irańskie otwiera fotografia Chomeiniego; elementarz etiopski zaczyna się wizerunkami zwierząt gospodarskich i domowych, po stronach chińskiego dudnią superszybkie(?) ekspresy kolejowe, których w tym kraju chyba nie ma(?).

Proszę państwa, to jest wystawa dla dorosłych! Idźcie zobaczyć ją także dlatego, że w obszernym dziale polskim znajdziecie optymistyczną wiadomość, że ciągle Ala ma kota, choć w Lublinie przystąpiono właśnie do wyłapywania bezdomnych psów i kotów.

A samą kolekcję to ja bym za wszelką cenę zatrzymał na stałe w Lublinie. W świecie działają różne muzea, dlaczego nie miałoby powstać Muzeum Elementarza im. Ali i Asa?!

IJK

kami sześciennymi, w tym specjalnymi: (tu odpowiednie rysunki). Rzut jaką kostką opisują poszczególne rysunki? Podaj przykłady losowań pileczek, które można opisać powyższymi drzewami. Doświadczenie polega na rzucie dwiema kostkami sześciennymi. Wyniki to pary liczb otrzymanych na pierwszej i drugiej kostce. Ile jest możliwych wyników tego doświadczenia? Czy wszystkie wyniki są równie prawdopodobne? Jakie jest prawdopodobieństwo wyników rzutów? (s. 116).

Dalej są już tylko pytania, wobec tego nie będziemy cytować. Myślę, że tą metodą nasze dzieci obliczą prawdopodobieństwo wyjścia z kryzysu.

Oczywiście pani od matematyki poradziła sobie z tym znakomicie. Starą wypróbowaną metodą. Absolutnie nic nie tłumacząc, zadała „prawdopodobieństwa" dzieciom do domu, aby przygotowały rzecz na następną lekcję. A ten paragraf oczywiście odfajkowała jako program zrealizowany. Po prostu pani od matematyki też człowiek, a więc również nie zrozumiała, o co tej spółce „rozchodziło się" w tym rozdziale.

W pewnym stopniu usprawiedliwiłbym autorów powyższego podręcznika, gdyż matematycy nie znają praw rozwoju umysłowego dzieci. Układając podręcznik rozumowali matematycznie: im więcej damy uczniom materiału, tym więcej wiadomości im w głowie zostanie. Ale dziecko to nie maszyna matematyczna, jest od niej bardziej skomplikowane i rządzi się prawami psychologicznymi, które mówią: im więcej na siłę wepchniemy wiadomości uczniowi, tym więcej zostanie wypartych, a co gorsze wyparte zostaną nawet i te podstawowe. Ale o tym wszystkim powinni wiedzieć zatwierdzacze.

Dosyć tej matematyki, weźmy podręcznik do języka polskiego M. Nogajowej „Polubić czytanie" (kl. szósta). Przy pierwszym zetknięciu zauważamy przede wszystkim artystyczny nieład w tej książce: „Czytanki" przemieszane są jak groch z kapustą (utwory romantyczne, współczesne, utwory z pozytywizmu i oświecenia, bez żadnej chronologii). A zakres materiału olbrzymi, przeogromny, obejmujący sześć okresów literackich: od oświecenia do literatury współczesnej. Jak na jedną klasę — to troszeczkę za dużo. Jest tak potwornie duża liczba nazwisk, że w pamięci dziecka nie zostanie ani jedno, dosłownie nic. Przy tym wszystkim nie znajdujemy żadnej wzmianki ani o autorach — gdyż rok urodzenia i śmierci to za mało — ani o epoce, w której żyli. To na pewno nie ułatwi prawidłowego odczytania — wprawdzie pięknych, ale trudnych utworów.

Oprócz tego autorka włączyła jeszcze zagadnienia z teorii literatury, a więc takie abstrakcyjne terminy jak: narrator, typy narratora, konstrukcje postaci w powieści i inne, z którymi student polonistyki spotyka się dopiero na trzecim roku studiów. A dziecko w szóstej klasie — jak powiadają nauczyciele — ma nieraz trudności w odróżnieniu bohatera od autora. Ponadto w książce znajdują się również teksty autorów podręczników uniwersyteckich: Krzyżanowskiego i Chrzanowskiego. Uważam, iż w liceum można zaznajomić ucznia z tymi historykami literatury, ale nie w szkole podstawowej. Za wcześnie z ucznia robimy studenta!

Ale już całkowicie autorka popuściła cugle swojemu pegazowi, włączając do podręcznika zagadnienia z psychologii. Na str. 36 pisze: „wyjaśnij (posługując się słownikiem) znaczenia wyrazów: „usposobienie, charakter, intelekt i osobowość". „Charakter" i „intelekt" znajdzie uczeń w słowniku wyrazów obcych, ale czy zrozumie wyjaśnienie, że charakter to ogół właściwości psychicznych? A co to jest „właściwość psychiczna"? Natomiast terminu „osobowość" nie znajdujemy ani w słowniku wyrazów obcych, ani w słowniku poprawnej polszczyzny Szobera, wydanym i uzupełnionym przez Doroszewskiego. Po prostu Doroszewski uważał, i całkiem słusznie, że nie jest to termin powszechnie używany w języku polskim i nie włączył go do „poprawnej polszczyzny". Wszak to termin specjalistyczny i można go znaleźć w słowniku psychologicznym. Poza tym — a to już wiadomość dla autorki — zakres tego pojęcia nie jest ostatecznie ustalony, są duże rozbieżności w interpretacji: obecnie mamy ponad 100 różnorodnych definicji osobowości.

I cóż nauczyciel może z takim fantem zrobić? Może to opuścić, gdyż nawet wytrawny psycholog uczniom kl. szóstej nie wytłumaczy tych terminów przystępnie i zrozumiale, lub też omówić temat po partacku.

Jakie są więc efekty nauczania na tak ambitnych programach i podręcznikach? Wystarczy przeczytać żenujące wprost wypowiedzi kandydatek na miss Polonia, uczennic z liceum. Nie wiedzą nawet, kto to był Napoleon, nie mogą podać wzoru prostego związku chemicznego itd., itp. Z kolei nauczyciele matematyki z pierwszych klas liceów mówią: uczniowie nie potrafią do pięciu dodać minus trzy, nie znają tabliczki mnożenia. Oczywiście listę tych „osiągnięć naukowych" można by wydłużyć. Należy jednak stwierdzić, że uczniom przede wszystkim brakuje podstaw, czyli tego, co powinni wynieść ze szkoły podstawowej.

Podsumowując, można by stwierdzić, że nasi programiści i zatwierdzacze w większości przypadków wykazali nie tylko całkowitą indolencję w swoim zakresie, ale także — kompletny brak zdrowego rozsądku. W rezultacie programy naszej szkoły podstawowej dorównują najlepszym uniwersytetom angielskim, ale efektami nauczania nie dorównują nawet murzyńskiej szkole z buszu, w której dyrektorem, nauczycielem i woźnym w jednej osobie jest czarownik. Ale ktoś mógłby powiedzieć: chwileczkę, mamy przecież uczniów olimpijczyków. Tak, ale ilu?

„Gimnazjum trudniło się zadawaniem, słuchaniem i stawianiem stopni... Całkowita nauka wszelkiego kursu wbrew wynikom pedagogii zastosowanym np. w Szwajcarii, odbywała się nie w murach szkoły, lecz w domu, istotny trud kształcenia zwalony bez hurtownie na barki pomocnika domowego" (Stefan Żeromski, „Syzyfowe prace"). Tak uczono naszych pradziadów sto lat temu. A cóż się zmieniło do chwili obecnej? Dawniej faktycznie kształcił dzieci pomocnik domowy, obecnie — rodzice, którzy wzięli na swoje barki istotny trud kształcenia, gdyż nie wszystkich stać dziś na korepetytora. Ach i jeszcze jedna zmiana: obecnie większość nauczycieli realizuje program nauczania i w tym zakresie ich bezczelność przechodzi wszelkie granice przyzwoitości. Oto przykłady: w szóstej klasie moja córka przyniosła następującą notatkę napisaną przez nauczycielkę: „Proszę nauczyć dziecko siatki geograficznej". Zdumiony taką propozycją, poszedłem do nauczycielki i mówię jej: „Proszę pani, trudno mi jest wykonać to polecenie, gdyż nie jestem w tym zakresie fachowcem, uważam, iż najlepiej mogłaby to zrobić tylko pani". Zawstydzona nauczycielka powiedziała: „Proszę pana, ja nie mam czasu na uczenie pana dziecka, ja muszę realizować program". W każdym cywilizowanym normalnym kraju nauczyciel za taką odzywkę wyleciałby z pracy. A u nas? U nas nauczyciel wie doskonale, że może wylecieć z pracy, dlatego też z spokojem pozwala sobie na tego rodzaju stwierdzenia i działania!

Wyszedłem więc ze szkoły całkowicie skołowaciały, nie mogąc zrozumieć, czym się różni realizacja programu nauczania od uczenia. Przypomniało mi się natomiast, że im częściej czytałem w gazecie, iż realizuje się oto program wyżywienia narodu, tym w coraz dłuższej kolejce ustawiałem się w sklepie mięsnym. Oto magiczne dwa słowa: realizacja programu! Panaceum na wszystkie pomyłki, wypaczenia i paradoksy!

(Dokończenie nastąpi)

Nikodem Żukowski

Po sezonie teatralnym

Lidia Wójcik

„...podsumować sezon? Szanujący się recenzenci robią to rokrocznie przed wyjazdem na letnie urlopy. I zawsze im wychodzi, że było bardzo dobrze..." — ironizował przed laty Konstanty Puzyna. Aż wstyd podejmować się takiego zajęcia. Jedynym usprawiedliwieniem pisania o tym sezonie może będzie fakt, że jego połowa przypadła na 40-lecie PRL. Oczywiście, to najłatwiej wytłumaczyć się jubileuszem, świętem (my to wyjątkowo lubimy), ale rzeczy tak zupełnie bez związku może nie są.

WYDARZEŃ, rzecz jasna, w teatrze nie było już od dawna, zresztą nikt ich się nie spodziewa. Teatry pracują zwyczajnie, wykonują plany usługowe (przy dużym wysiłku biur organizacji widowni), odbywają się premiery, w ciągu sezonu można było w różnych ośrodkach obejrzeć kilka przedstawień nawet nienudnych, niedenerwujących. Czy wypada jeszcze czegoś wymagać od teatrów?

W Krakowie rewelacji żadnych nie było, nawet w Starym Teatrze. Na uwagę zasługuje może jedynie „Antygona" w reżyserii Andrzeja Wajdy i scenografii Krystyny Zachwatowicz, choć spektakl nazbyt chyba publicystyczny; w nielicznych tylko miejscach pojawiają się nieznaczne sugestie w kierunku antyku. Jest „Antygona" głosem w sprawie wewnętrznej wolności człowieka, w obronie autonomii ludzkiej osobowości. Próbuje rzucać światło na sprawy trudne, mroczne, prostować to, co pokrzywiono w zbiorowej świadomości lub o czym zapomniano.

W Teatrze im. Słowackiego na 90-lecie istnienia sceny przy placu Św. Ducha dyrektor Mikołaj Grabowski przygotował premierę „Irydiona" Zygmunta Krasińskiego (12 listopada 1983). Dramat okrojono z całej jego warstwy mistycznej, religijnej, profetycznej, stąd przedstawienie daje jedynie obrazek z dziejów rzymskiego senatu, eksponując problem władzy. Niewykluczone, że przedstawienie miało potwierdzić słuszność słów Norwida: „... a Zygmunt może powiedzieć: Ja znam Historię", ale w sumie znacznie zubożyło myśl i dzieło Krasińskiego.

Na koniec sezonu Mikołaj Grabowski wystawił „Wesele" (premiera 16 czerwca). Inscenizację zbudował w oparciu o rzadko dostrzegane w dramacie słowa Poety, że jest to historia bardzo wesoła, a przez to bardzo smutna. „Wesele" to ani uporne, ani tajemnicze. Zjawy są zupełnie zwyczajne, ot przychodzą, siedzą sobie w jasnym świetle, w białej izbie (scenografia Andrzeja Witkowskiego), gwarzą o tym i owym. Zwyczajne rozmowy Polaków, tak jakby żadnych wielkich spraw nie było. A może ich istotnie nie ma? Może tak właśnie trzeba dzisiaj grać „Wesele"? Mikołaj Grabowski wie z pewnością, że społeczeństwu epoki telewizorowej nie chce się już myśleć o narodowych mitach. I nie jest tu wcale odosobniony.

Niechęć do tworzenia w teatrze narodowych kapliczek ujawniła łódzka inscenizacja „Dziadów" (części I, II, IV i III, ze znacznymi skrótami) w reżyserii Macieja Prusa. Przedstawienie w Teatrze im. Jaracza (premiera 25 marca) nie pokazuje „Dziadów" jako dramatu politycznego. Prusa najmniej chyba interesuje motyw „mszy narodowej", nie próbuje tworzyć misterium narodowego, ani religijnego bardziej może teatralne. Znaczące i ciekawe wydaje się w tym przedstawieniu semantyczne nacechowanie teatralnej przestrzeni, pozostawienie pustej, głębokiej sceny, jak w Teatrze Rapsodycznym dla słowa i osoby aktora.

W Warszawie sezon przyniósł niewiele ciekawych przedstawień. Zainteresowanie szczególne widzów i krytyki wzbudziła „Pułapka" Różewicza w Teatrze Studio (o spektaklu tym pisałam już przy innej okazji) oraz autorskie przedstawienie Janusza Wiśniewskiego „Walka Karnawału z Postem" wystawione w Teatrze Współczesnym (premiera 30 stycznia). Rzecz była wydarzeniem bardziej chyba natury towarzysko-plotkarskiej niż artystycznej. Przedstawienie w poetyce teatru plastycznego, tekstu posiada niewiele, a ten, który jest, znamionuje znaczna niespójność. Cytaty z Biblii i literatury obrazują porozrywaną świadomość człowieka kultury masowej, zagubionego pośród konwencji, literackich mitów, wojen, festynów, wielkich namiętności, miłości i zbrodni, na pograniczu życia i śmierci, pomiędzy twarzą Chrystusa i Judasza, pomiędzy dobrem i złem. Spektakl gęsty od ważkich treści, niestety — wciśniętych w znane i niezupełnie odpowiednie formy. Inspiracja teatrem Kantora („Wielopole...", „Umarła klasa") jest po prostu natrętna. Ale wiadomo przecież, iż jeśli teatr „autorski", „plastyczny", to niewątpliwie musi brać rodowód z Kantora albo Szajny; przy innych okazjach przywykliśmy oglądać różne popłuczyny po Swinarskim, Grzegorzewskim... (na przykład różne niby-nowatorskie pomysły rozwiązań przestrzennych).

Właściwie w Warszawie na uwagę zasługują jedynie przedstawienia w Teatrze Współczesnym, Studio, Powszechnym, zresztą niezmiennie od kilku już sezonów. W tym ostatnim Zygmunt Hübner dał dwie interesujące inscenizacje: „Z życia gilst" Enquista (choć interpretacja nieco przerysowana w kierunku skandynawskiej, biograficznej dramy) i „Iwonę księżniczkę Burgunda" Gombrowicza. Zresztą w Warszawie był po prostu sezon na Gombrowicza. W Teatrze Dramatycznym ciągle grano jeszcze „Operetkę" w reżyserii Macieja Prusa, w Teatrze Nowym „Historię", we Współczesnym młody reżyser Krzysztof Zaleski zrealizował „Ślub". Niebywałym zainteresowaniem publiczności cieszyła się „Pornografia" w Teatrze Ateneum.

Na początku sezonu niemałe uznanie zyskał Teatr Rzeczypospolitej. Nie bez znaczenia jest w końcu fakt, że dzięki tej instytucji można było jeszcze zobaczyć „Wyzwolenie" Swinarskiego i mało znane w Polsce „Wielopole, Wielopole" Kantora, także po raz pierwszy pokazany w Polsce spektakl „Gdzie są niegdysiejsze śniegi". U schyłku sezonu entuzjazm publiczności nieco opadł i jak wszędzie widownia zaczęła świecić znaczną liczbą wolnych miejsc. Zatem Teatr Rzeczypospolitej „nawiązując do chlubnych tradycji Reduty Osterwy i wcześniejszej jeszcze tradycji Bogusławskiego" wyruszył w wędrówkę (kolejną już). Z początkiem czerwca antrepryzę dyrektora Gawlika mógł zobaczyć Lublin, gdzie przywieziono krakowskie przedstawienie „Irydiona" oraz „Krakowiaków i górali" z Teatru Powszechnego z Łodzi (chwała za to dyrektorowi Gogolewskiemu, zawsze to jakieś urozmaicenie!)

Optymistyczny wydaje się fakt, że ostatnio dzieje się czasem coś interesującego poza wielkimi ośrodkami teatralnymi i to w miastach, gdzie do niedawna jeszcze teatry przedstawiały żałosny obraz. Dobrym przykładem może tu być spektakl „Króla IV" Grochowiaka w Teatrze im. Żeromskiego w Kielcach. Pałacowy świat (postaci Króla, Fortynbrasa, Ministra, Generała, Premiera...) przeniósł Grochowiak w inny kontekst, ze stereotypów sytuacji i postaci stworzył inny obraz, przez to zabawny. Przedstawienie Bogdana Augustyniaka pokazuje pejzaż życia czasu kultury masowej, przedmioty codzienne o standardowej brzydocie, obecny wszędzie kult tandety i wulgarności. Rzecz jest protestem przeciwko kulturze wartości obniżonych (Rada Królewska rozprawia o lepach na muchy i przepalonej grzałce), przeciwko pospolitości życia i obrzydliwej, codziennej drobnej ludzkiej zapobiegliwości (Prezes przybywa na posiedzenie Rady z siatką pełną kiełbasy, mleka i różnych kolejkowych zdobyczy). W formie spektakl nawiązuje do poetyki tandetnego jarmarcznego teatru, wędrownej trupy. Aktorzy grają w trzech różnych miejscach teatru, a widzowie wędrują do tych miejsc, gdzie brud, zaniedbanie, zapachy gotowanej kapusty albo szczątki pałacu, rusztowania albo prezydialny stół, lampa z lepem na muchy i kolorowe żarówki jak w budzie jarmarcznej (scenografia Marcina Stajewskiego). Spektakl to niebanalny i niewątpliwie potrzebny temu miastu, bardziej może niż inne niedawne przedstawienia („Pan Tadeusz" i „Kordian i cham").

Niestety, nie pojedyncze „odsłony", ale jakiś sensowny blok repertuarowy może być sposobem porozumienia z widownią, nawet — kształtowania świadomości. Ale z tym jest zupełnie niedobrze. Oczywiście usprawiedliwień może być wiele, że funkcje społeczne teatru w konkretnym środowisku, możliwości wykonawcze, że warunki organizacyjne, że... Że wreszcie kierowanie teatrami terenowymi jest raczej zajęciem mało wdzięcznym i ryzykownym. No, ale można chyba ułożyć sensownie repertuar na jeden sezon przynajmniej, według jakiegoś modelu tematycznego albo historycznego. Choć nie jest to na pewno łatwe w mieście, gdzie jeden teatr musi służyć ludziom, którzy czytują Gombrowicza, słuchają Chopina, ale również i tych, dla których edukacja telewizyjna i kolejki są satysfakcjonującym i możliwym do akceptacji modelem życia. Repertuar wielu teatrów jest niestety zbiorem przypadkowości „reżyserskich pomysłów" i nie wiem, czego jeszcze.

Repertuar na sezon bywa na ogół dziwną składanką różnych sztuk, niezrozumiałą niczym nie uzasadnioną. Ot, na przykład bierze się „Kartotekę" i „Porwanie Sabinek", „Szklaną menażerię" i „Zemstę", ale w Teatrze im. Osterwy w Lublinie (czy te sztuki mają jakiś związek, jakąś wspólną myśl? — nie sądzę). „Przedwiośnie" może być razem ze Stachurą, a do tego jeszcze Makuszyński, bo trzeba dać „coś wesołego" i łatwo cały sezon swobodnie... zanudzać młodocianą widownię. Chyba można i ta, skoro wedle tego wzorca działał Teatr Powszechny w Radomiu. I jakże tu dostrzec jakąś linię repertuarową czy w ogóle jakiś obraz teatru, jak mówić o znaczeniu teatru w środowisku, o tego odrębnym obliczu?

U schyłku sezonu teatry, jak zwykle, zapowiadają plany repertuarowe na przyszły sezon. A ma być ponoć wcale niezwyczajnie. Będą najpierw rzeczy na 40-lecie, a więc „świąteczne": „Wesele", „Kordian", „Wyzwolenie", „Turoń", „Nie-Boska"... Naiwnością byłoby oczywiście spodziewać się czegokolwiek po takich zapowiedziach. Jedno jest niewątpliwe: że zawsze zadowoleni z siebie twórcy trwać będą w przeświadczeniu, iż tworzą dzieła wybitne, wciąż niedoceniane. Niestety pośród widzów zadowolonych znacznie mniej.

czas. 2552/1984/16

Lektura prababek

Upiór Zamku Sokolskich

Wiele naszych czasopism, zwłaszcza ukazujących się na tzw. prowincji, drukuje w odcinkach różne sensacyjne powieści, chcąc na stałe przyciągnąć czytelnika. Mamy dla nich zupełnie bezinteresowną propozycję: dlaczego nie sięgnąć do lektury naszych prababek? One — no, może nie wszystkie! — zaczytywały się w różnych zeszytowych romansach. Jeden z nich przypomniało Wydawnictwo Literackie w 1975 r. w bogato ilustrowanym almanachu „Oko". Właśnie z owego „Oka" wybieramy fragment wielkiej powieści w zeszytach pt. „Wśród wariatów! Niewłanie do domu obłąkanych wtrącona czyli Upiór Zamku Sokolskich. Sensacyjne odkrycia".

Fabuły powieści streszczać dokładnie nie będziemy. Przedstawiamy tylko za Januszem Duninem, który rzecz na światło dzienne wydobył, postacie: hrabia Kazimierz Zamski, ożeniony wbrew swej woli z Lolą, podłą intrygantką, grającą rolę córki hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Hrabia Kazimierz kochał jednak prawdziwie czystą i śliczną Anielkę. Anielka zaginęła. Zaczyna więc jej szukać za pośrednictwem znanego detektywa Listera, w gruncie rzeczy przerażającego zbrodniarza — Edwina Satanelliego. Ten to król paryskiego podziemia oddał Kazimierzowi jego Anielkę, ale cudne dziewczę jest martwe — utopiło się w Sekwanie. W tym miejscu zaczyna się ta opowieść.

Dodajmy, że wspomniana powieść ukazała się 14 lata temu „nakładem księgarni Józefa Rubinsteina w Wiedniu".

„Drzwi otwarły się i na ich progu stanął mężczyzna w wieku około lat trzydziestu, którego już zewnętrzna postać zdradzała Polaka. Pełna jasnoblond broda spadała mu na piersi, wyraziste oczy spoglądały z twarzy, włosy zaś były zaczesane w górę bez sztuki i bez pretensji.

Zamknąwszy drzwi za sobą i skierowawszy swe kroki ku hrabiemu, przemówił:

— Jestem doktor Henryk Haler i stoję na pańskie usługi. Czy mam iść z panem do chorego? Moja matka mówiła mi, że się rozchodzi o operację.

— Tak, panie doktorze! — zawołał Kazimierz. — Chcę jednak mówić z panem otwarcie, jak przystało na człowieka honoru... Panie doktorze, tu nie rozchodzi się o operację na żyjącym człowieku ani czy był sztuką swoją lekarską zdołał uratować drogie życie lub nie, gdyż życie to zgasło już na wieki. Doktorze, przed bramą na ulicy stoją nosze z trumną, w której spoczywa ukochane nade wszystko przeze mnie piękne, nieszczęśliwe dziewczę. W tej chwili, kiedy mam ją oddać ziemi, kiedy mam się rozstać na wieki z tą umiłowaną postacią, na którą patrzyłem zawsze z takim zachwytem, teraz, gdy mam wziąć rozbrat z tymi wdziękami, które mnie tyle razy uszczęśliwiały — w duszy mojej powstało dziwne żądanie — żądanie, którego nie mogę poskromić.

Głos Kazimierza drżał gwałtownie, obfitowała na jego czoło. Henryk Haler ujął jednak szybkim ruchem rękę hrabiego i, ściskając ją, mówił:

— Uspokój się pan i bądź tak dobry wyjawić mi bez ogródek swoje życzenie. Jestem przekonany, że mi pan nic złego ani zbrodniczego nie zaproponujesz, mów więc pan, co mam uczynić dla niego!

— Panie doktorze — wyszeptał Kazimierz słabym głosem. — Proszę o serce mojej kochanki.

— Serce pańskiej kochanki? Jak mam to rozumieć?

Bezgraniczne zdziwienie leżało w jego głosie — i na chwilę zabłysło w oku lekarza coś jakby podejrzenie. Lecz trwało ono tylko sekundę. Kazimierz bowiem począł mówić cichym, błagającym i pokornym głosem:

— Powiedziałem już panu, że mam zamiar pogrzebać moją kochankę. Gdy ją widziałem leżącą w trumnie, ogarnęło mnie nagle pragnienie, by zatrzymać dla siebie coś z niej, coś, co by mogło być dla mnie wieczną i drogą pamiątką. Postanowiłem więc złożyć jej serce w kosztownym słoiku — serce, które tchnęło taką miłością i wiernością dla mnie. Spełń pan moją prośbę, a ja nie omieszkam wynagrodzić pana po królewsku. O, wiem dobrze, że nie zdołałbym ująć pana pieniędzmi. Lecz przed panem stoi nieszczęśliwy szaleniec, który chwyta się spełnienia tego ostatniego życzenia, jak tonący źdźbła słomy. Panie doktorze, ja muszę posiąść serce mojej kochanki. Przecież wyjęcia serca z tej piersi, w której biło dla mnie taką wiernością, nie sprawi panu trudu ni mozołu. Przecież biedna zmarła nie zostanie przez to obrabowana — jej serce należy do mnie: ja żądam zwrotu tylko mojej własności.

— Dobrze, drogi panie — odparł doktor Haler — spełnię chętnie pańskie żądanie, jakkolwiek potrzebne by było pozwolenie ze strony policji. Lecz wierzę panu i sądzę, że pan nie stanie się powodem mego nieszczęścia... Otwarcie trupa zabierze przynajmniej godzinę czasu, dlatego radziłbym panu opuścić mój dom i zjawić się u mnie za godzinę. Teraz jest czwarta — o piątej więc wszystko będzie gotowe. Grabarze niechaj także przyjdą celem zabrania zwłok.

— Odchodzę, by się zjawić za chwilę — odparł Kazimierz. — Wprawdzie nie wyjawiłem panu mego nazwiska, lecz pozwól mi pan zostać bezimiennym i nie żądaj tego ode mnie. Przysięgam jednak panu, że jestem człowiekiem honoru, który nigdy nie nadużyje pańskiej dobroci. A teraz pozwól pan, że przywołam grabarzy.

Kazimierz podszedł do okna i skinął na Pifferona i jego syna, by nosze wnieśli do domu. Po chwili grabarze złożyli zwłoki młodej dziewczyny w pokoju na pierwszym piętrze, z którego urządzenia można było wnioskować, że pokój ten służy młodemu lekarzowi jako miejsce studiów i jako miejsce przyjmowania chorych.

Doktor Haler wskazał na duży stół, zajmujący środek pokoju, na którym Pifferonowie złożyli trumnę.

— Przyjdźcie o piątej — zawołał młody lekarz, zwracając się do grabarzy. — Wtedy wam oddam zamkniętą już trumnę ze zwłokami. Zamknę ją bowiem natychmiast po skończeniu operacji, gdyż nie życzę sobie, by ktoś miał ujrzeć jeszcze śmiertelne szczątki nieszczęśliwego dziewczęcia. Pan hrabia będzie łaskaw również zjawić się o piątej u mnie celem odebrania wiadomej, a tak upragnionej rzeczy.

— Idę — odparł Kazimierz — lecz pozwól mi pan jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie na oblicze zmarłej.

Doktor Haler, podjąwszy wieko trumny, rzekł:
— Pożegnaj się więc pan.

Lecz w tej samej chwili, gdy spojrzał na leżącą w trumnie, ogarnął go podziw, bo nigdy jeszcze nie widział tak czarującej twarzy dziewczęcia, nigdy nie oglądał zmarłej, która by zdała się spać tylko, jak właśnie to nieszczęśliwe stworzenie, któremu miał wyjąć serce z piersi, by je uchronić przed rozkładem.

Kazimierz, pochyliwszy się nad trumną, całował czoło i oczy Anielci, lecz ust jej nie miał odwagi się dotknąć, nie chcąc się narazić na szaloną grę strasznych złudzeń swojej wyobraźni.

„Żegnaj", szeptał, łkając cichym głosem. „Żegnaj, najdroższa! Odchodzisz w dal, lecz najszlachetniejsza część, która w tobie żyła, twoje wierne i pełne miłości serce pozostanie ze mną! A gdy sam umierać będę wtedy słabnące oczy zwrócą na słój z twoim sercem — i wyda mi się wtedy, żeś żyła przy moim boku, żeś nigdy nie umarła. Żegnaj więc na zawsze!"

Kazimierz zatoczył się jak pijany — jeszcze raz wykrztusił „Do zobaczenia!" i wybiegł z pokoju w towarzystwie doktora.

Pifferoni oddalili się już przedtem.

Młody lekarz udał się tymczasem do swojej pracowni. Podniósł story w obu oknach, sądząc, że snop światła księżycowego, wpadającego do pokoju, odda mu lepsze usługi aniżeli słabo paląca się lampa.

Otworzywszy małą szafkę, wyjął z niej parę noży, położył je obok na małym stoliku i przystąpił do trumny.

I znowu nie mógł oderwać się od czarodziejskiego wdzięku, który zawisł na twarzy zmarłej.

Pochyliwszy się, wyjął ostrożnie zwłoki z trumny, którą umieścił następnie pod stołem.

Wdzięczną zaś postać kobiety, bez życia i sztywną, umieścił ostrożnie na płycie stołu.

Lecz, o dziw, nie mógł znieść, by leżała na twardym stole, nie mając miękkiej poduszki pod głową.

Pobiegł więc ku sofie, wziął jedną z poduszek zdobną w wspaniałe hafty i złożył na niej głowę zmarłej, by mogła miękko leżeć.

Nieszczęśliwa odziana była tylko w długą, białą koszulę, gdyż Pifferon i jego syn zrabowali wszystkie suknie ze zwłok, które znaleźli na brzegu Sekwany.

Lekarz otworzył koszulę na piersi, a uczucie czystej moralności towarzyszyło jego ruchom — i nie obnażył całej górnej części ciała, jak to właściwie wymagała jego czynność. Odsłonił tylko dziewicze piersi — miejsce, gdzie miał zapuścić nóż, by się dostać do serca.

Haler odłożył nóż, wahał się chwilę — zdało mu się, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, że musi upaść na ziemię.

Lecz w najbliższej sekundzie przyszedł do siebie. Nóż, leżący obok niego, odrzucił w kąt, pochylił się nad tym pięknym a nieszczęśliwym obliczem i zawołał drżącym głosem:

„Boże litościwy! Ta, w której piersi chciałem zanurzyć lancet, nie jest umarłą, nie jest trupem — nie, nie, oszukano mię nikczemnie, żywą przyniesiono mi w trumnie, lecz cicho, muszę się przekonać, czy mnie zmysły nie mylą, czy rzeczywiście bije jej serce".

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Tadeusza Żeleńskiego-Boya dopadł kiedyś pewien grafoman i zmuszał do wysłuchania wielostronicowego utworu. Rzecz działa się w mieszkaniu Boya przy ul. Smolnej w Warszawie.

Pisarz zrezygnowany siadł i powiedział:

— Niech będzie, ale pod jednym warunkiem: proszę wpierw otworzyć okno.

— Natychmiast, mistrzu — odpowiedział grafoman — ale czy wolno wiedzieć dlaczego?

— Bo ja zawsze sypiam przy otwartym oknie — odpowiedział Boy.

*

Balzac zajmował się grafologią i twierdził, iż się nigdy nie mylił. Kiedyś odwiedziła go starsza kobieta i przyniosła zeszyt ucznia.

— Proszę powiedzieć, jaka przyszłość czeka to dziecko?

Balzac po uważnym przejrzeniu zeszytu zapytał:

— Czy pani jest matką lub krewną tego dziecka?

— Nie, mistrzu.

— Wobec tego powiem pani całą prawdę. To dziecko jest lekkomyślne i tępe. Nigdy z niego nic wyrośnie nic dobrego.

— Drogi mistrzu! Nie poznaje pan własnego pisma? To pański zeszyt z okresu szkolnego.

*

Pewien młodzieniec skarżył się Twainowi, że go rodzice nie rozumieją.

Twain mu odpisał:

— „Cierpliwości, młodzieńcze, ja też to przeżywałem. Kiedy miałem 15 lat mój ojciec był tak ograniczony, że wprost nie mogłem z nim wytrzymać. A kiedy miałem 25 lat dziwiłem się, ile ten człowiek zdołał się przez 10 lat nauczyć".

Wyszperał:
Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 16 - szyfrogram literacki

1	2	3	4	5	■	6	7	8	9	10	■	11	12	13	14
15	16	17	■	18	19	■	20	21	22	23	■	24	25	26	27
■	28	29	30	31	32	33	■	34	35	36	■	37	38	39	40
■	41	42	43	44	45	■	46	■	47	48	49	50	51	52	53
54	■	55	56	57	58	■	59	60	61	62	63	■	■	64	65
66	67	68	■	69	70	71	72	73	74	75	76	77	■	78	79
■	80	81	■	82	83	84	■	85	86	87	88	89	90	91	92
93	94	95	■	96	97	98	99	100	101	102	103	■	104	105	106
107	■	108	109	110	111	112	113	114	115	■	116	117	118	■	119
120	■	121	122	123	124	125	126	127	128	■	129	130	131	■	132
133	134	135	136	■	137	138	139	140	141	■	142	143	144	145	146

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Początkowe litery pierwszych 10 wyrazów pomocniczych utworzą nazwisko współczesnego polskiego pisarza, z którego powieści pochodzi cytowany tekst. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami, a podwójne między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze:

1. miejsce oświęcimskiego obozu — 9, 2, 15, 35, 48, 131, 106, 142, 68
2. gest powitalny — 128, 87, 93, 41, 139.
3. część twarzy — 145, 97, 61, 84, 143.
4. pokład — 124, 39, 30, 132, 4.
5. zysk — 149, 26, 89, 21, 94, 114, 118.
6. reakcja organizmu na bodziec — 106, 134, 14, 89, 123, 29.
7. odwiedziny — 67, 112, 70, 25, 13, 135.
8. małpa człekokształtna — 6, 83, 18, 24, 121, 129, 80, 78.
9. silnie uzbrojony okręt bojowy — 37, 44, 79, 103, 87, 111, 45, 32, 55.
10. kontroler — 30, 135, 34, 11, 98, 127, 53, 19, 25.
11. siedem dni — 100, 8, 18, 88, 74, 44, 144.
12. osłania detkę — 132, 1, 38, 116, 54.
13. państwo na wyspach — 139, 145, 109, 66, 36, 117, 81.
14. powieść Żeromskiego — 30, 110, 99, 42, 40, 65, 10.
15. ziele do pasty do zębów — 119, 71, 75, 62, 138.
16. wywołuje groźną chorobę tropikalną — 136, 51, 77, 137, 63.
17. produkt młynarza — 98, 125, 42, 46.
18. modne wille — 31, 12, 28, 3, 118.
19. utwór — 105, 32, 91, 72, 57, 52.
20. rządzi łuhasami — 22, 107 73, 120.
21. sposób, wzór — 102, 58, 69, 60, 104.
22. załoga łodzi sportowej — 50, 64, 141, 47, 92.
23. grupa ludzi wspólnie działających — 5, 113, 96, 82, 63, 17.
24. muzułmańska świątynia — 90, 50, 76, 7, 101, 130.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14

Teraz razem wyruszymy w drogę, w dalszą podróż wyruszymy mocni! Kto przyjął w siebie pitekantropa, niczego się nie lęka... Dobry Boże! Gdybym przed chwilą coś poszkapił, popadłbym w szaleństwo! Zdarłyby mnie strach i trwoga.

Jerzy Krzysztoń
Obłęd

Nagrodę otrzymuje Bohdan Bieńkowski, Droga Męczenników Majdanka 13, 20-325 Lublin.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 1361/84 10.07.84 r. L-4